

Dzieje Opolskiej Solidarności • Wspomnienia z internowania • Opolska konspiracja antykomunistyczna • Niezależne Zrzeszenie Studentów w Opolu • Opolski wątek Radia Solidarność • „Konrad Wallenrod” w SB • Stan Wojenny w Kietrzu i Branicach • Solidarność w Kędzierzynie i Brzegu • Prześladowania po internowaniu • Patron Solidarności w Opolu

Historia Lokalna

Nr 3-4 /2011 (9-10) JESIEŃ – ZIMA 2011

Cena 8,00 zł w tym 5% VAT

Kwartalnik historyczno-krajoznawczy

ISSN 1899-4644

30-rocznica wprowadzenia stanu wojennego

Opolski Karnawał Solidarności



Foto: Antoni Klusik

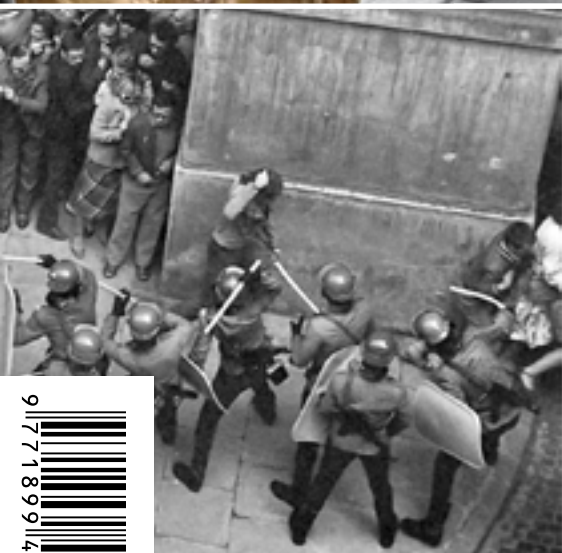


Foto: A. Klusik



Foto: Chris Niedenthal

Stan wojenny klatka po klatce



To było złe!



Bolesław Bezeg,

W ostatnich latach w tzw. mainstreamowych mediach modne jest dowodzenie jak nieodpowiedzialnym i bezsensownym politycznie, militarnie i strategicznie wydarzeniem było Powstanie Warszawskie. Historycy, politolodzy i politycy prześcigają się w ahistorycznym udowadnianiu zbrodniczości dowództwa AK, które zdecydowało się na wywołanie powstania. Zgoda, z fatalnymi skutkami tego zrywu trudno dyskutować, ale spytajcie samych powstańców co myślą o tym powstaniu. Ja spytałem kilku i wszyscy, choć ich opowieści przede wszystkim pełne były opisów niemieckich zbrodni i okrucieństw, mieli jedną wspólną refleksję: „Te 63 dni były jedynym czasem w moim życiu, kiedy czułem się naprawdę wolny. Dla takich chwil warto było żyć” – mówili. Za luksus oddychania wolnością płaci się czasami bardzo wysoką cenę.

Tzw. festiwal Solidarności (od sierpnia 1980 – do grudnia 1981) nosił znamiona podobnego momentu wolności jak Powstanie Warszawskie. Zapewne dlatego ówczesna euforia, jak to bywa z narkotykami, znieczuliła nasz rozsądek. Stan wojenny był zaskoczeniem, a przecież historia poprzednich dziesięcioleci pokazała dobitnie, że komuniści nie pozwalają sobie na oddanie władzy bez walki, zwłaszcza gdy mają do dyspozycji aparat przemocy. To się musiało tak skończyć, to wisiało w powietrzu.

W średniej szkole przyszło mi odbyć miesięczną praktykę przy obrabiarce, gdzie moim mistrzem był starszy o parę lat kolega. Niezbyt wykształcony, z małej wsi, dziś noszącej wdzięczną pragermańską nazwę Dębiohammer, ale jednak młody i chętny na długie pogawędki o życiu. Kiedy pewnego dnia rozmowa zeszła na stan wojenny, pamiętam szok jaki wywołała u mnie jego o tych wydarzeniach opinia. Powiedział: „Dobrze, że Jaruzelski zrobił w tym kraju porządek, bo ja już się bałem chodzić po ulicach”. Gdy zapytałem dlaczego, wyjaśnił: „No bałem się, że ktoś z Solidarności wbije mi na ulicy nóż w plecy”. Nie mogłem uwierzyć, że ktokolwiek może tak myśleć. Ale on nie udawał, faktycznie tak myślał! Ale w końcu taki właśnie efekt pragnęli osiągnąć ówczesni spin-doktorzy (czytaj propagandziści) PZPR, ładujący w media wszelkiego rodzaju bzdury „o żądnych krwi niewiniątek solidaruchach”.

Pamiętam nadaną w „Dzienniku” relację z likwidacji arsenału jednej z komór Solidarności. Były tam nabijane gwoździem iście średniowieczne cepy, zaostrome zbrojeniowe prety, rzeźnicze tasaki, łańcuchy z żelaznymi kulami na końcach, samopały, domowej produkcji granaty, zomowskie świece dymne i kilka paczek amunicji do KBKS-u. Spytałem wtedy tatę czy jego komórka „S” też szykuje arsenał na powstanie? Odpowiedział pytaniem: „Myślisz, że powinniśmy?”

Nie ma takich durnoty, której totalitarne łotry nie puszcza do mediów, jeśli tylko jest cień nadziei, że w jakimś stopniu przyczyni się to do utrzymania przez nich władzy. Stan wojenny był złem. To nie ocena, to fakt.

*Z okazji Świąt Bożego Narodzenia
składamy serdeczne życzenia
wszystkim Mieszkańcom Powiatu Brzeskiego,
Dzieląc się z Wami symbolicznym opłatkiem
życzymy spokojnych, Wesołych Świąt
w otoczeniu Rodziny i bliskich osób.
Niech nadchodzący Nowy 2012 Rok
przyniesie zdrowie, szczęście i dobrobyt.*

*Przewodniczący
Radę Powiatu Brzeskiego,
Henryk Mazurkiewicz
wraz z Radnymi*

*Starosta
Powiatu Brzeskiego,
Maciej Stefański
wraz z pracownikami*



*Radosnej, rodzinnej atmosfery
przy świątecznym stole,
wielu wzruszeń i głębokich przeżyć,
chwil przepętnionych spokojem
i wzajemną bliskością
oraz odpoczynku
po trudach codzienności,
a w Nowym Roku zdrowia,
szczęścia, pomyślności, pogody ducha
oraz ludzkiej życzliwości
w trudnych chwilach życzy*

*Posł na Sejm
Rzeczypospolitej Polskiej
Brygida Kolenda-Łabuś*

NASI PARTNERZY:

www.gazetabrzeska.eu
Gazeta Brzeska
GAZETA BEZPIATNA

NGO
www.ngopole.pl

NOWINY
CHRONIKA

KURIER
WIEŚNIOWA - BAZAŁA
www.kurier.kkozle.pl

HISTORIA LOKALNA

Kwartalnik historyczno-krajoznawczy

Wydawca: Agencja Dziennikarska „Co i kiedy?”

Adres do korespondencji:

ul. Krakowska 46, skrytka pocztowa 384, 45-076 Opole
E-mail: historialokalna@wp.pl

Redaguje zespół historyków:

Bolesław Bezeg – redaktor naczelny, tel. 602 592 086
Wiktor Krzewicki – sekretarz redakcji, tel. 0 518 621 149

Janusz Baryłowicz, Jacek Bezeg, Bogusław Rogowski,
Michał Mańka, Bartosz Kozina.

Reklama: Janusz Baryłowicz, tel. 602 225 472

Skład: P.H.U. FOGRA27, kontakt: fogra27@gmail.com

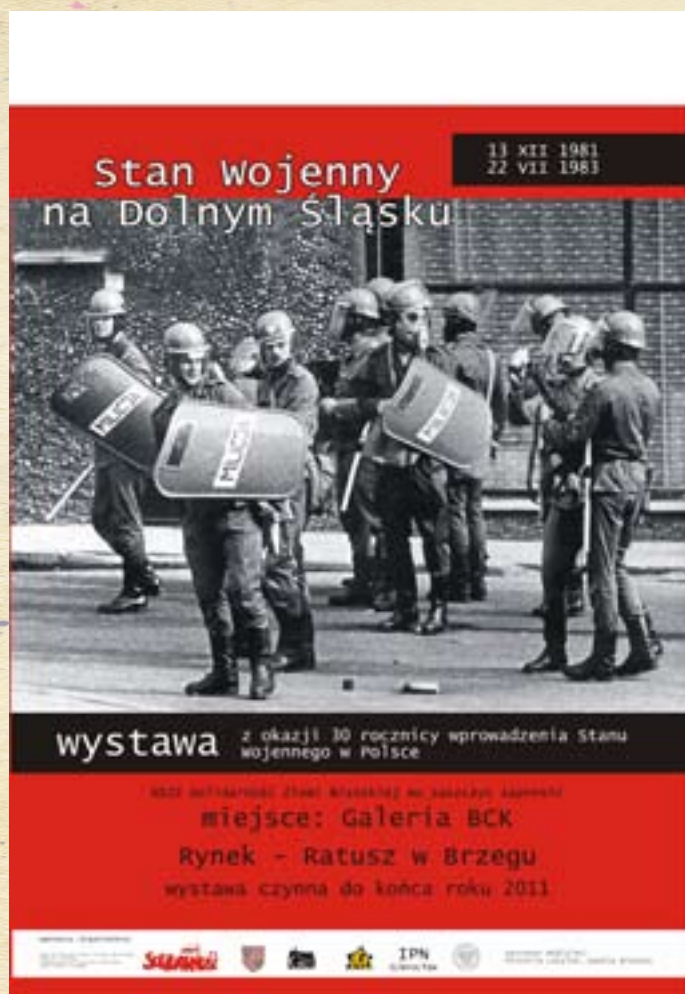
Druk: Zakład Poligraficzny SINDRUK, 45-286 Opole,
ul. Obrońców Stalingradu 66

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów.
Za treść reklam i ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

KSIĄŻKI

Konglomerat

Historia Górnego Śląska. Polityka, gospodarka i kultura europejskiego regionu to jedna z najnowszych publikacji Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Jest to efekt kilkuletniej współpracy historyków z Polski, Niemiec i Czech. Celem tej współpracy było stworzenie popularno-naukowej syntezy historii Górnego Śląska. Nad przebiegiem prac nad publikacją i kwestią merytoryczną czuwali znawcy tematu – profesorem ze znaczącym dorobkiem naukowym: po stronie polskiej prof. Ryszard Kaczmarek z Uniwersytetu Śląskiego; po stronie niemieckiej prof. Joachim Bahlcke z Uniwersytetu w Stuttgarcie, oraz po stronie czeskiej prof. Dan Gawrecki z Uniwersytetu w Opawie. To książka koncentrująca się na europejskiej historii Górnego Śląska, w ramach której po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej polscy, niemieccy oraz czescy historycy podjęli próbę możliwie szerokiego opracowania spornej historii tego regionu o wielokulturowych tradycjach i powikłanych tożsamościach.



Wystawa o filii Auschwitz

Projekt Judenlager

Młodzi pasjonaci z Kędzierzyna-Koźła chcą pokazać mieszkańcom ich miasta jak wyglądała filia obozu koncentracyjnego w Ślawieicach.

W pierwszy poniedziałek grudnia Stowarzyszenie Blechhammer-1944, na wystawie zorganizowanej w kędzierzyńskiej filii Miejskiej Biblioteki Publicznej podsumowało prace związane ze swoim projektem pod nazwą Judenlager. Przez ponad pół roku członkowie stowarzyszenia zbierali i poddawali analizie pozyskane materiały dotyczące ślawieickiej filii obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W wyniku tych badań na wystawie pojawiły się amerykańskie zdjęcia lotnicze terenu obozu, karty i relacje byłych więźniów, makietka oraz wizualizacja obozu, którego teren porasta obecnie las zniekształcając odbiór tego miejsca.

– **Chcieliśmy umożliwić zwiedzającym zobaczenie kształtu obozu, rozmieszczenie baraków i budynków** – wyjaśnił nam Waldemar Ociepski, prezes stowarzyszenia Blechhammer-1944. – **Po wojnie budynki rozebrano, a przy krematorium umieszczono plac apelowy służący ideologicznym spędom.**

Członkowie stowarzyszenia korzystali z planów narysowanych przez byłych więźniów oraz z dokumentacji wykonanej zaraz po przeprowadzeniu powojennych ekshumacji. Jednak najlepsze okazały się amerykańskie zdjęcia lotnicze. To na ich podstawie powstaje właśnie wizualizacja terenu obozu. Co prawda wykonana amatorsko przez wolontariuszy stowarzyszenia, jednak oddająca charakter tego miejsca.



Pasiak byłego więźnia otrzymany z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

– **Przystępując do realizowania projektu martwiła nas niewielka ilość dokumentów dotyczących tego obozu** – tłumaczy Edward Haduch, zastępca prezesa. – **Otrzymaliśmy jednak wsparcie z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau oraz Instytutu Yad Vashem.**

Ten ostatni udostępnił organizacji zdjęcie przymusowego pracownika z numerem który nosili więźniowie podobozu KL Auschwitz. Członkowie przy wsparciu muzeum w Oświęcimiu postarali się o kopię jego pasiaka. Niestety w samym muzeum na temat więźnia nic się nie zachowało. Do czasu gdy w ramach poszukiwań zaczęły wypływać różne informacje. Również o bohaterze tej fotografii. I tak jest z coraz większą ilością informacji i dokumentów. Co rusz pojawiają się nowe. Zgłaszają się również byli więźniowie oraz ich rodziny.

– **W pewnym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że ten projekt jest bardzo rozwojowy, dlatego chcemy stworzyć stronę internetową na której będziemy publikować otrzymane materiały i przy pomocy której będziemy się komunikować z osobami mającymi informacje na temat tego podobozu.** – poinformował nas Kamil Nowak, sekretarz zarządu.

Pomimo włożonego wysiłku członkowie stowarzyszenia uważają, że to co pokazali na wystawie to dopiero początek ich pracy.

PITER

Epoka za nami

13 grudnia – Czas wsiadać do klatki

To doprawdy niewiarygodne, ale mija właśnie 30 lat od „tamtego grudnia”! W 1981 r. miałem 27 lat, a tu mija więcej niż połowa mojego życia. Dla wielu młodych to czasy tak odległe jak średniowiecze, albo Powstanie Warszawskie. Czy są w stanie zrozumieć atmosferę tamtych dni?

A my? Nasze pokolenie, albo pokolenie ludzi starszych? Pamięć ludzka ma zdolność do tzw. „pozytywnej selekcji”. Wymazuje wspomnienia przykre, bolesne, zostawia tylko miłe i ciekawe. Czy czasem ta właściwość ludzkiej pamięci nie zamazała nam obrazu PRL-u i tego co, symbolizuje data 13 grudnia?

Na szarość naszych dni

„Komunizmu u nas nigdy nie było” – mówi do mnie przed laty jeden z działaczy PZPR, potem SLD. Pewnie, że nie było. Być nie mogło. Komunizm, tam gdzie został wprowadzony w całej swej ideologii, natychmiast doprowadzał do gospodarczej, społecznej katastrofy. Czym jest ostateczne zrealizowanie utopii Marksa-Lenina widać było w Kambodży rządzonej przez Czerwonych Khmerów czy w Korei Północnej. W Polsce, Rosji i innych krajach komuniści musieli hamować swoje ideologiczne zapędy, żeby nie uśmiercić całego społeczeństwa i... samych siebie. Po śmierci Stalina reżim złagodniał, ale w dalszym ciągu walczył z prywatną własnością, z religią, opierał się na donosicielstwie, cenzurze, masowej propagandzie, zmuszaniu ludzi do udziału w absurdalnej obrzędowości. Czyż to nie my musieliśmy latać na pochody pierwszomajowe i machać szturmówkami jakimś durniom stojącym na trybunach? Czyż to nie my musieliśmy obowiązkowo należeć do „Socjalistycznych Związków Młodzieży”. Czyż to nie my musieliśmy – uczyć się historii, literatury, filozofii, czy ekonomii – wkuwać zakłamaną formułki, a następnie je recytować na egzaminach? Czyż to nie my „załatwialiśmy” wszystko po znajomości (najlepiej u sekretarza partii), bo przecież nic kupić w sklepie nie było można.

Dziś humorystyczny obraz komunizmu widzimy w filmach Barei w „Misiu” czy „Alternatywach”, ale przecież to było naprawdę i wcale nie było nam do śmiechu. Komunizm w Polsce, w swej pierwszej fazie to masowe mordowanie patriotów, to terror i propaganda na skalę total-



Grupa internowanych działaczy MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemia Nyska” Stoją od lewej: Paweł Grzegorczyk, Janusz Sanocki, Leon Foltyn, Tadeusz Kasprowicz (jeden w tym gronie internowany z Opola). Drugi rząd (od lewej): Jan Piątkowski, Jerzy Jakubek, Władysław Bolechów, Wiesław Jamiński. Z tyłu: Janusz Smagoń i Krzysztof Pawlik.

ną. Potem, kiedy społeczeństwo było już obezwładnione, terror był tylko jednostkowy. Ale strach przed „władzą” był ciągle obecny. Kiedy dzisiaj widzę, że w narodowe święta nieliczni wywieszają flagi w oknach, przypominam sobie czasy PRL. Niechby ktoś nie wywiesił flagi! Zaraz był u niego milicjant.

Komunizm to oczywiście ciągle niedostatek. Może nie bieda, ale ciągła siemienność i brak wszystkiego. Od szynki począwszy, a na mieszkaniach skończywszy. Żeby dostać kawę, kawałek baleronu czy banany kolejki ustawiały się o 4 rano. Dzi-

siejszy 15-sto latek nie zrozumie, co to znaczy, że w sklepie są puste półki.

Bezbożny komunizm

Jednak nie braki towarów były największą bolączką. Najbardziej doskwierało poczucie beznadziei, głupoty władz, idiotyzmów i zakłamanie. No i terror. Spróbuj się wychylić! Już cię nie ma! W tej dusznej atmosferze przychodzi w 1978 r. wybór kardynała Wojtyły na papieża. Polska oszalała z radości. Pamiętam Kraków tańczący i modlący się na przemian do póź-

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Autor nieznany

O stanie wojennym większość Polaków dowiedziała się z telewizora.



Foto: Autor nieznany

W niedzielny poranek na ulicach miast pojawiło się wojsko.



Foto: Autor nieznany

Nie do końca było wiadomo z kim mają walczyć te wozy bojowe.

nych godzin nocnych. A komuniści zbledli. Nie wiedzieli, co powiedzieć.

Potem w czerwc 1979 r. kilka milionów ludzi na krakowskich błoniach i ta ich zakłamaną telewizję (całkiem podobna do dzisiejszej pod rządami Platformy) pokazująca tylko zakonnice i starszki. A tu młodzież, transparenty, flagi z zakazanym orłem w koronie i wzruszający transparent po czesku: „Pamatuj Otcze na twe czeskie deti”. My, wszystkie narody, zniewolone przez komunę jesteśmy braćmi!

W sierpniu 1979 r., w dwa miesiące po pielgrzymce Jana Pawła II, jadę z siostrą na Litwę. Przemycam kilka kieszonkowych wydań Ewangelii św. Jana, jedną Ewangelię po rosyjsku i kilkadziesiąt obrazków z Papieżem. W Wilnie okupowanym przez sowieciarzy idziemy z moim gospodarzem Józefem Orszewskim (Juozas Orszauskas) na Mszę św. do kościoła św. Teresy obok Ostrej Bramy. Po mszy stoję przy wejściu i rozdaję obrazki z Papieżem – Juozas przerażony wciąga mnie do zakrystii – „Janusz zaraz nas zamkną!”.

W zakrystii chrzest. Chłopczyk – Wołodia ma z osiem lat. Rodzice przyjechali go ochrzcić aż z Irkucka. Po chrzcie rozmawiam chwilę z księdzem. „Nie wolno nam nauczać religii” – mówi. „Dzwony też nie mogą dzwonić w kościołach, – bo podobno dzieci się straszą”.

W Ostrej Bramie, przed obrazem Matki Boskiej widzę jak Litwinka w wieku mniej więcej 40 lat, wraz z kilkunastoletnią córką modlą się z przepisanych ręcznie modlitewników. Są to sceny, których się nie zapomina. Jeśli ktoś nie wierzy w diabła, niech spojrzy na historię komunizmu.

W Ostrej Bramie, przed obrazem Matki Boskiej widzę jak Litwinka w wieku

mniej więcej 40 lat, wraz z kilkunastoletnią córką modlą się z przepisanych ręcznie modlitewników. Są to sceny, których się nie zapomina. Jeśli ktoś nie wierzy w diabła, niech spojrzy na historię komunizmu.

Na świeże powietrze – Wielka Solidarność

Rok 1980, strajk i podpisanie Porozumień Gdańskich to był początek czegoś nadzwyczajnego. To było tak, jakbyśmy z dusznej, zatęchłej nory wyszli na świeże powietrze, na świat pełen słońca i nadziei. Mój Boże, jak szkoda, że dzisiejsi 20-30-latkowie nie mogli przeżyć podobnego okresu w swoim życiu! 16 miesięcy legalnej działalności Solidarności – od 31 sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981, to był najwspanialszy okres w powojennej historii Polski. Mieliśmy wszyscy poczucie niezwykłej solidarności z rodakami, poczucie odpowiedzialności za to, co się będzie działo, za kraj. I prze-

konanie, że uczestniczymy w czymś wielkim, na miarę kolejnego narodowego zrywu.

Jacy ludzie się wówczas ujawnili! Jak kipiało to wszystko energią, odwagą, wiarą w sens tego, co robimy. Powstawały programy naprawy gospodarki, inicjatywy kulturalne, przywracaliśmy pamięć zafałszowanej przez komunistów historii najnowszej. Z jakim głodem ludzie rzucali się na wydawane poza cenzurą, (która oficjalnie wciąż istniała) książki i wydawnictwa!

W nyskim MKZ-cie (Międzyzakładowy Komitet Założycielski NSZZ Solidarność Ziemia Nyska) działała biblioteka, a w naszej powielarni wydrukowaliśmy na białkowym powielaczu, (kto wie, co to takiego?) „Raporty katyńskie ambasadora O'Malleya”. Za te raporty ścigała mnie prokuratura i Służba Bezpieczeństwa. Mieliśmy rewizję we wrześniu 1981, potem prokuratura rozpoczęła śledztwo „za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji mogących wyrządzić szkodę politycznym interesom PRL”. „Upiekło mi się”, bo mnie zamknęli w stanie wojennym a potem była jakaś amnestia. Ciekaw jestem gdzie są dzisiaj tamci prokuratorzy, którzy ścigali mnie za ujawnienie prawdy o Katyniu? Albo inaczej – ciekaw jestem ile pobierają emerytury w wolnej Polsce?

13 grudnia śmierć nadziei

Wprowadzenie stanu wojennego znisz-



Znaczek i koperta „Poczty internowanych” – wydrukowane w więzieniu w Grodoku. Na wykonanych nielegalnie matrycach, przemycanym papierze i własnoręcznie wykonanych farbach drukarskich.



„Zadyma” w Uhercach: grupa internowanych, którzy wyszli z pawilonu przez okno, w którym wyłamano w nocy kratę – podchodzi pod wartownię i bramę.

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Szybko wyjaśniło się z kim jest wojna. Na terenie PRL wprowadzono godzinę policyjną.



Mieszkańcy Trójmiasta „oswajają” groźne wozy bojowe.



Czołgi skierowano w okolice dużych zakładów, gdzie spodziewano się strajków.



Janusz Sanocki – dziennikarz, polityk, działacz opozycji antykomunistycznej w PRL, samorządowiec, były burmistrz Nysy. W 1980 był jednym z założycieli i przywódców NSZZ „Solidarność” w Nysie. Kierował MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemia Nyska. W dniach 13 grudnia 1981 – 10 grudnia 1982 internowany w: Opolu, Grodkowie, Kamiennej Górze, Głogowie, Nysie, ponownie Grodkowie i w Uhercach.

Organizował podziemne struktury samokształceniowe i struktury związkowe w zakładach, w których pracował. W 1985 za działalność podziemną aresztowany przesiedział 5 miesięcy. W 1986 r. inicjował powstanie jawnej struktury związkowej na Opolszczyźnie Tymczasowej Rady Regionalnej NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego. W 1989 brał udział w obradach Okrągłego Stołu w zespole polityki mieszkaniowej, organizował kampanię „Solidarności” do wyborów kontraktowych w województwie opolskim. W tym samym roku wycofał się z działalności związkowej. Obecnie prowadzi akcję społeczną skupiającą stowarzyszenia obywateli walczących z bezprawiem sądów i prokuratur. Kieruje tygodnikiem „Nowiny Nyskie”.

czyło całą tę nadzieję Pierwszej Solidarności. Polacy nigdy już nie mieli się podnieść z kolan. Mnie zamknęli rankiem 13 grudnia w Opolu. Czatowali na mnie pod domem opolskiego działacza Solidarności, u którego nocowałem czekając na ekspres do Warszawy. Potem wozili mnie z więzienia do więzienia. Po krótkim pobycie w Areszcie Śledczym w Opolu 8 stycznia 1982 przewieźli mnie do więzienia w Grodkowie. Stamtąd za złe zachowanie – 8 marca 1982 do więzienia w Kamiennej Górze – dawnej filii hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Gross Rosen.

Obóz w Kamiennej Górze zlikwidowali 6 kwietnia 1982 i wszystkich ans wywieźli do Głogowa, skąd po „kipiszu” (rewizji), któremu zgodnie z przyjętymi zasadami nie chciałem się poddać, za karę przewieźli mnie, Leszka Foltyna, Grzeska Szperlika i Ryśka Kulesz do Nysy.

Tu komendant wytrzymał ze mną tylko 3 tygodnie i 1 lipca, w kajdankach przewieźli mnie z powrotem do Grodkowa, gdzie po likwidacji obozów na Dolnym Śląsku 24 lipca trafiły moje „oszołomy” z Głogowa. Piszę tak o grupie moich przyjaciół, których spotkałem

na tym więziennym szlaku w Kamiennej Górze i z którymi zadzierzgałem więź przyjaźni w Głogowie, i na których miałem pewien wpływ.

Otóż moje oszołomy wpadły do Grodkowa i natychmiast rozwały wszystkie zamki w drzwiach, wymontowały kratę i generalnie dokonały demolki więzienia. Komendant Michalak (wyjątkowy skurczybyk) zmiękł i prosi: „Panie oddajcie te zamki, bo to przecież nasza wspólna własność” – taki ideowiec komunistyczny! Nic więc dziwnego, że po tych wyczynach 16 sierpnia wywieziono nas wszystkich na wschód do Uherc, gdzie 20 km od ruskiej granicy mieliśmy zastanawiać nad zagadnieniem szerokości torów kolejowych po tamtej stronie i wpływie prezydenta Reagana na wydarzenia w Polsce.

„Wy pacholki Reagana!” wołał do nas porucznik Lipczyński. Ten sam Lipczyński nie zezwalał mojej żonie trzy dni na widzenie. W rewanżu napisałem dla niego piosenkę, którą wkrótce śpiewały w Uhercach wszystkie dzieci:

„Rozumu mam za trzy grosze
Um-pa-pa um-pa-pa um
Trzy gwiazdki na czapce noszę
Um-pa-pa um-pa-pa um
Charakter mam skurwysyński
Zwamnie porucznik Lipczyński
Um-pa-pa um-pa-pa um“

W dodatku, kiedy tylko Lipczyński pojawiał się w polu widzenia jakiś głos wołał: „Pacholek, pacholek!” Wkrótce sam poprosił o przeniesienie. Dziś pewnie też pobiera sowską emeryturę.

W końcu w dniu 10 grudnia 1982 r. po roku pobytu w więzieniach, władze zdecydowały się wypuścić nas na tzw. wolność. Wyszedłem za bramę z Wieśkiem Uleją z Opola. Przez więzienia i obozy przewinęło się kilkunastu działaczy solidarności z Nysy. Z moich bliższych współpracowników byli: Władek Bolechów, Paweł Grzegorzczak, Leszek Foltyn, Jurek Jakubek, Zbyszek Zajac, śp. Marcin Starski, był też Janusz Samgoń z ZUP. Kiedy siedzieliśmy aresztowania dotknęły też grupę działaczy z FSD i ZUP, wśród nich śp. Andrzeja Borulę.

Bez ostatniego rozdziału.

Dziś po 29 latach od 13 grudnia zadaje sobie pytanie o sens tamtych wydarzeń powtarzając za katalońskim bardem pytanie: „Kto zwyciężył?” Odpowiedź nie jest optymistyczna. Nie zwyciężyliśmy komunę. Nie udało nam się jej obalić, a to czym dzisiaj jest III RP zachowuje wszystkie mankamenty tamtego systemu z wyjątkiem ideologii. Ko-



Janusz Sanocki w więzieniu w Grodkowie – luty-marzec 1982

munistyczny stupajka, sowiecki sługus Jaruzelski bryluje w telewizji, jako autorytet. Prezydent Komorowski zaprasza go, jako eksperta. Komuniści i ich dzieci w najlepsze opanowali sądy już jako sędziowie „niezawisli” czytają: „nieusuwalni”. Większość mediów znajduje się w rękach postkomuny i ich sojuszników. Gospodarczo Polska została rozgrabiona w imię nowej ideologii – drapieżnego – liberalizmu tak samo pozbawionego zasad jak komunizm, choć oczywiście nieposługującego się terrorem. Ale czy tylko strachem można zarządzać ludźmi?

Oczywiście jest wiele dobrego. Nikt nam nie wyrywa paznokci. Nikt nie zamyka w więzieniach bez wyroku, – bo i po co? Nie ma cenzury, – ale komu chce się dzisiaj czytać jakieś książki? Nie ma już prawie dużych zakładów pracy, bo stanowiły zbyt duże zagrożenie dla władzy. Kolebka Solidarności i chluba polskiego przemysłu stocznianego – Stocznia Gdańska – została zlikwidowana.

I tak można by ciągnąć tę litanie bardzo długo. Jaki z tego morał? Czy warto było? Oczywiście, że warto. Jak mówi bowiem poeta: „Pracujemy nad początkiem historii, którego końca nie znamy”

Janusz SANOCKI

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Marek Czaśnojc

Zdjęcie zrobione z ukrycia: czołgi otaczają stocznnię w Szczecinie



Foto: Marek Czaśnojc

Człowiek i czołg przy bramie Stoczni im. Warskiego w Szczecinie.



Foto: Autor nieznany

Na wojskowych posterunkach pojawiły się umilające żołnierzom służbę koksowniki.

„Solidarność” w Kędzierzynie-Koźlu

Zaczęło się w Instytucie...

Strajki i podpisanie Porozumień Sierpniowych w roku 1980 zapoczątkowały nową epokę w dziejach Polski Ludowej. W zakładach całego kraju spontanicznie powstawały Komisje Zakładowe (KZ) i Międzyzakładowe Komisje Związkowe (MKZ) NSZZ „Solidarność”, których liczba członków rosła z dnia na dzień. W samym Kędzierzynie-Koźlu „S” liczyła ponad 35 tysięcy członków i stanowiła samodzielny region, zupełnie niezależny od stolicy województwa.

Fundament pod powstanie kędzierzyńsko-kozielskiego okręgu „Solidarności” utworzyli pracownicy Instytutu Ciężkiej Syntezy Organicznej w Blachowni. Na początku września 1980 r. w tamtejszym Zakładzie Karbochemii kierowanym przez mgr inż. Zofię Pokorską zawiązała się mała grupka ludzi, którzy wspólnie podjęli decyzję o utworzeniu struktury branżowej – niezależnego związku zawodowego chemików. 10 września, po powrocie pięciorga z nich z organizowanego przez Komitet Organizacyjny nowych związków zawodowych Zjazdu Branżowego Nauki Polskiej w Warszawie zaaranżowano zebranie, podczas którego utworzono Komitet Założycielski. Liczył on ponad 200 członków. Po tym spotkaniu oddelegowano kilku pracowników Instytutu do Jastrzębia, gdzie 3 września podpisano Porozumienia jastrzębskie, oraz do Gdańska – Tadeusza Kraśnika, Edwarda Chromiaka, Jerzego Jaksiewicza i Henryka Kielbasińskiego, by tam zorientowali się jak przedstawia się sytuacja odnośnie formujących się związków zawodowych.

Wizyta na Pomorzu przyniosła decyzję o zmianie działań – rezygnacji ze związku branżowego na rzecz utworzenia potężniejszego związku, który skuteczniej będzie lepiej



Foto: Bogusław Rogowski

Kolejka „za mięsem” pod kędzierzyńskim „Światowidem”.



Foto: Bogusław Rogowski

Przewodniczący MKZ w K-K
Antoni Szota

zabezpieczał pracowników. 19 września miało miejsce w Kędzierzynie spotkanie, w którym wzięli udział pracownicy ICSO i Zakładu Doświadczalnego Syntezy Organicznej. Przyjęto tymczasowy statut Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych i powołano Międzyzakładową Komisję Związkową ZDSO i ICSO. W ciągu dwóch dni przystąpiło do niej ponad 750 osób. Przewodniczącą została p. Lidia Kubiczek, natomiast Tadeusz Kraśnik – jeden z późniejszych sygnatariuszy statutu „S” – został członkiem komisji ds. interwencyjnych. Celem odróżnienia od innych związków, przyjęto nazwę „Solidarność”.

Później ruszyli inni

Wkrótce po powołaniu MKZ w kędzierzyńsko-kozielskich zakładach zaczęły powstawać kolejne Komisje Zakładowe. Przy pomocy związkowców z ICSO utworzono je m.in.

w: ZUCH-u „Metalchem”, Zakładach Chemicznych „Blachownia”, POPN „CPN”, Kozielskiej Fabryce Maszyn „Kofama”, Stoczni „Koźle”, Zakładach Azotowych „Kędzierzyn” i innych. Liczba pracowników w ŻAK-u wynosiła ponad 8 tys. Trudno byłoby utworzyć jedną wielką komisję, więc podjęto decyzję o tworzeniu ich w poszczególnych wydziałach. Jak się później okazało, komisja w ŻAK była najliczniejszą w województwie. W jej szeregach było ponad 5 tys. pracowników. 1 lutego 1981 Przewodniczącym Zakładowej Komisji NSZZ „Solidarność” w „Azotach” zdecydowaną większością został wybrany Antoni Szota, mistrz zmianowy na Wydziale Półspalania Ciśnieniowego Zakładu Produkcji Amoniak.

Trzy miesiące później – 11 kwietnia 1981 – odbyło się w Hotelu Centralnym Walne Zebranie Delegatów Organizacji Międzyzakładowej. Podczas zjazdu 280 przedstawicieli ponad 75

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Autor nieznany

Wozy bojowe na wrocławskim podwórku.



Foto: Autor nieznany

„Warta” przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie.



Foto: Autor nieznany

Czołgi w centrum Wrocławia.

komitetów należących do regionu dokonało wyboru władz związkowych na kolejne dwa lata. Przewodniczącym MKZ został również p. Szota. W maju 1981 kędzierzyńsko-kozielski region „S”, do którego należały również zakłady m.in. ze Zdzeszowic, Kotlewni i Głogówka liczył ponad 35 tys. członków, podczas gdy na całej Opolszczyźnie było ok. 212 tys. związkowców. MKZ wydawał swój „Biuletyn Informacyjny”, na którego łamach publikowano aktualne informacje dot. związków zawodowych w regionie. W życie Komisji bardzo chętnie włączała się również młodzież, zajmująca się przede wszystkim działalnością informacyjną.

Czerwoną farbą na sklejkowych tablicach

Głównym celem utworzenia „Solidarności” było ograniczenie biedy wśród polskich pracowników. Zgodnie z tą myślą postulaty wysunięte przez związkowców dotyczyły przede wszystkim podwyżki płac, podniesienia warunków socjalnych i tym podobnych spraw. Żądano wolnych sobót, skrócenia czasu pracy i wprowadzenia kartek na mięso. Zdarzało się też, że pracownicy stawiali warunek, by dyrekcja zapewniła im tak podstawowe rzeczy jak ubrania robocze czy rękawice. Pierwszą akcją przeprowadzoną w Kędzierzynie-Koźlu był strajk ostrzegawczy przeprowadzony w ICSO i ZDSO, gdy pojawiły się komplikacje związane z rejestracją „S”. W samym regionie nie doszło jednak do żadnej większej akcji protestacyjnej. Spowodowane to było dużym niebezpieczeństwem awarii urządzeń w zakładach chemicznych, a poza tym działacze bali się prowokacji. Obawiano się uszkodzenia instalacji i późniejszego obarczenia winą o to strajkujących.

19 marca pobito w Bydgoszczy Michała Bartoszcze, Mariusza Łabentowicza i Jana Rulewskiego – działaczy „S”. Zaplanowano ogólnokrajowy strajk, jednak zawarcie tzw. porozumienia warszawskiego spowodowało jego odwołanie. Masowego charakteru nabrała jedynie msza polowa odprawiona przed halą sportową w Kędzierzynie w rocznicę uchwalenia konstytucji 3 Maja 1981 r.

Nie ma wolności bez Solidarności

W ciągu 13 miesięcy istnienia „Solidarności” kilkakrotnie próbowano połączyć region opolski z kędzierzyńsko-kozielskim. Związkowcy z tych okęgów nie mogli jednak przez długi czas się w tej sprawie i porozumieć i gdy 27 listopada 1981 roku podjęto decyzję, że ów połączenie nastąpi 1 stycznia 1982 było już za późno. 13 grudnia wprowadzono stan wojenny. Zatrzymano 12 działaczy „S” w Kędzierzynie-Koźlu i później ich internowano. Przeszukano gruntownie mieszkania i siedzibę MKZ, przez co nie zachowało się z tego okresu zbyt wiele dokumentów. To, czego nie znaleźli funkcjonariusze SB, zostało ze strachu spalone. Stan wojenny jednak nie uciszył ludzi, którzy pragnęli wyrazić swój sprzeciw wobec



Foto: Bogusław Rogowski

W Kędzierzynie-Koźlu nie strajkowano, by nie ryzykować uszkodzenia instalacji chemicznych.



Foto: Bogusław Rogowski

Do Solidarności garnęły się tłumy.

tego, co dzieje się w kraju. Kolportowano różne ulotki oraz podziemne wydawnictwa takie jak „Sygnały Wojenne”, „Solidarność Opolska”, czy „Przed jutrem”. Przez krótki okres w Kędzierzynie funkcjonowała również radiostacja „Solidarność” tworzona przez Bronisława Bobińskiego, Mariusza Handke, Zdzisława Niewadzisz, Ryszarda Siwackiego i Stanisława Bedla. W grudniu 1982 jednak namie-

rzono ich, postawiono przed sądem i skazano. W podobny sposób swoje opozycyjne działania zakończyły setki ludzi w całej Polsce. Ludzi, którzy brali czynny udział w tworzeniu współczesnej Europy.

Michał MAŃKA

Za pomoc przy napisaniu tego artykułu dziękujemy Panom Tadeuszowi Kraśnikowi i Antoni Szocie.



Foto M. Mańka

Siedziba kędzierzyńsko-kozielskiej Solidarności mieściła się przy pl. Wolności.

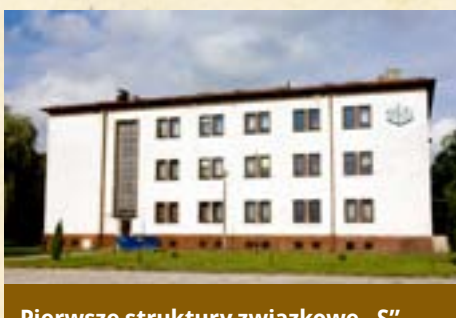


Foto: Archiwum prywatne

Pierwsze struktury związkowe „S” w Kędzierzynie-Koźlu powstały w Instytucie Ciężkiej Syntezy Organicznej.



Foto: Archiwum prywatne

O wyborze władz Solidarności w K-K doniosła „Trybuna Kędzierzyńskich Azotów”.

30 ROCZNICA WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO

Błogosławiony Jerzy przybył do Katedry

W Opolu obchody trzydziestej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego odbyły się pod znakiem Błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki, którego relikwie uroczystie wprowadzono do opolskiej Katedry. Obok katedry stał pomnik Błogosławionego, ufundowany przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego. Uroczyste Mszy św. przewodniczył biskup Jan Kopiec.

Uroczyste odsłonięcie pomnika Błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki oraz wprowadzenie jego relikwii do opolskiej katedry było punktem kulminacyjnym obchodów trzydziestej rocznicy wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. Ksiądz Jerzy Popiełuszko był kapłanem NSZZ „Solidarność”, a stan wojenny wprowadzono właśnie przeciwko „Solidarności”. We wtorek 13 grudnia 2011 r. przed opolską Katedrą odbyło się uroczyste poświęcenie pomnika Błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki, który ufundowany został przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego. W uroczystości jego poświęcenia udział wzięli przedstawiciele władz miasta i województwa, poczty sztandarowe i związkowcy z całej Opolszczyzny, przyjechali także dawni działacze „S” mieszkający dziś w Niemczech i Kanadzie.

Poświęcenia pomnika dokonał biskup Jan Kopiec, a przecięcia wstęgi dokonała Cecylia Gonet przewodnicząca Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego, która w swoim wystąpieniu powiedziała m.in.: – Dziś w 30. rocznicę wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, zapewniamy, że Błogosławiony Ksiądz Jerzy Popiełuszko – patron ludzi pracy zostanie w naszej wdzięcznej i trwałej pamięci i obiecujemy, że będziemy wierni jego ideom. Czcząc pamięć Bł. Ks. Jerzego jednocześnie wyrażamy szacunek i hołd wszystkim ofiarom tamtego czasu.

Po poświęceniu i odsłonięciu pomnika relikwie księdza Jerzego w uroczystej procesji zostały wprowadzone do Katedry. Zaszczytu niesienia relikwii dostąpiła przewodnicząca Zarządu Regionu „S” Cecylia Gonet, a skarbnik Zarządu Regionu Marek Stelmach niósł w procesji obraz przedstawiający błogosławionego. W trakcie procesji odmówiono litanię do błogosławionego księdza Jerzego. Relikwie pierwszego stopnia – fragmenty kości błogosławionego Jerzego Popiełuszki, trafiły do Opola dzięki staraniom Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Śląska Opolskiego. Zostały one złożone w jednej z kaplic ka-

tedralnych – kaplicy św. Anny, gdzie umieszczono je obok relikwii m.in. św. Jadwigi Śląskiej, bł. Alojzego Ligudy oraz innych błogosławionych z ziemi opolskiej.

Mszy świętej w intencji Ojczyzny przewodniczył biskup Jan Kopiec, który jako kleryk wspólnie z Jerzym Popiełuszką odbył zasadniczą służbę wojskową w jednostce wojskowej w Bartoszycach.

– Po raz 30. opatrność pozwala nam dzisiaj zgromadzić się na modlitwie aby rozważyć wielkie sprawy Boga, który wchodzi w historię człowieka i wchodzi równocześnie w nasze sumienia – mówił w homilii biskup Jan Kopiec.

– Jesteśmy społeczeństwem, które docenia znajomość własnej historii. Nie będziemy tu dzisiaj rozdrapywać ran sprzed lat trzydziestu. Przysiąc jednak musimy, że to, co stało się 13 grudnia, to rezultat czasów, w których jedni się dobrze mieli, a inni spychano na kolana. Najlepszym co możemy zrobić pośród toczących się dzisiaj sporów o prawdę tamtego czasu, to zło nazwać złem, a dobro dobrem i zło dobrem zwyciężać. Pomocą przy wprowadzaniu w życie tej trudnej reguły jest dzisiaj postać bł. ks. Jerzego Popiełuszki – dodał biskup. Na zakończenie uroczystości głos zabrała przewodnicząca Zarządu Regionu „S” Cecylia Gonet, któ-

ra podziękowała wszystkim osobom i instytucjom za pomoc oraz przypominała słowa wygłoszone przez błogosławionego księdza Jerzego podczas jego ostatniej publicznej modlitwy na zakończenie rozważań w kościele Świętych Braci Męczenników w Bydgoszczy: „Módlmy się abyśmy byli wolni od lęku, zastraszania a przede wszystkim od żądzy odwetu i przemocy”.

– Kim był ksiądz, który głosił te słowa – zastanawiała się Cecylia Gonet. – Tysiące Polaków odpowie: „ten, który zginął śmiercią męczeńską za wiarę”. Ojczyznę umiłował nad życie i tej miłości uczył innych, uczył, jak być bratem drugiego człowieka, a swoją postawą przyciągał ludzi do Boga, bo swoje życie poświęcił idei miłości do człowieka, idei ludzkiej dobroci, pokory i pomocy słabszym – dodała.

Po Mszy św. w katedrze opolskiej odbył się koncert „Ku czci błogosławionego ks. Jerzego”. W koncercie wystąpił chór parafialny Talis Cantus z parafii pod wezwaniem św. Mikołaja

i Franciszka Ksawerego oraz zespół młodzieżowy z Liceum Ogólnokształcącego w Otmuchowie. W koncercie wykorzystano fragmenty kazań ks. Jerzego.

FRA



Foto: BEZ

Pomnik księdza Jerzego ustawiono przy głównym wejściu do Katedry.



Foto: www.solidarnosc.org.pl

Relikwie do Katedry wniosła przewodnicząca Zarządu Regionu „S”.



Foto: www.solidarnosc.org.pl

Na uroczystość przybyli związkowcy z całego województwa.

BŁOGOSŁAWIONY JERZY POPIEŁUSZKO

Męczennik Solidarności

Czy stan wojenny zakończył się w 1983 r.? Naszym zdaniem nie, bo i później wojna z narodem przynosiła kolejne ofiary. Delegaci odbywającego się 30 sierpnia 2010 r. w Gdyni uroczystego XXIV Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” przyjęli uchwałę o ustanowieniu błogosławionego Jerzego Popiełuszki patronem związku. Ksiądz Jerzy zanim zginął męczeńską śmiercią z rąk funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa był charyzmatycznym kapłanem warszawskiej „Solidarności”. Jego kazania przyciągały tłumy wiernych.



Ksiądz Jerzy posługę wobec „Solidarności” rozpoczął od mszy.

Urodził się 14 września 1947 r. we wsi Okopy na białostockczyźnie jako trzecie z pięciorga dzieci rolników Marianny i Władysława Popiełuszków. Mimo trudnych warunków rodzice dbali o duchowe wychowanie dzieci. W ich domu na pierwszym miejscu był Pan Bóg, msza św. i wspólna rodzinna modlitwa. Wuj Jerzego, żołnierz AK zginął z rąk NKWD w 1945 r. toteż w rodzinie żywa była tradycja niepodległościowa i często rozmawiano o prawdziwej historii Polski.

Jak wspomina jego matka przyszedł błogosławiony przez wszystkie szkolne lata codziennie wstawał o 5 rano by przed lekcjami służyć do mszy w parafialnym kościele w Suchowoli, gdzie był ministrantem. W 1965 r. po zdaniu matury podjął decyzję o kontynuowaniu nauki w seminarium archidiecezjalnym w Warszawie. Zarówno koledzy ze szkoły jak i z seminarium pamiętają go jako skromnego nie-

wyróżniającego się i przeciętnego. Jego silny kręgosłup moralny dał się poznać na początku drugiego roku studiów na seminarium, kiedy to po obłóczynach został wzięty na dwa lata do wojska, co było standardowym elementem represjonowania Kościoła przez władzę PRL. Klerycy kierowani byli do specjalnych jednostek o zaostrzonym rygorze, gdzie poddawano ich ciężkim ćwiczeniom fizycznym, systematycznej indoktrynacji politycznej i ateizacji oraz nakłanianio do podjęcia współpracy z tajnymi służbami PRL albo chociaż do porzucenia kapłaństwa. Młody Popiełuszko nie dość, że sam nie dał się złamać, to był też oparciem dla mniej wytrzymałych kolegów, których podtrzymywał na duchu. Jego rola została szybko zauważona przez wojskowych przełożonych, toteż podjęli oni szereg działań represyjnych poczynawszy od inicjowanego wysmiewania, poprzez wielogodzinne ćwiczenia, czołganie się na mrozie, aż

po czyszczenie toalet w masce przeciwgazowej i tym podobne żołdackie pomysły. Nie pozostało to bez wpływu na jego zdrowie – zaraz po powrocie do seminarium – jesienią 1968 r. ciężko zachorował i był bliski śmierci. Wyzdrowiał, ale na zawsze pozostały mu kłopoty ze zdrowiem.

Święcenia od Prymasa Tysiąclecia

Święcenia kapłańskie przyjął 28 maja 1972 r. w warszawskiej archikatedrze z rąk Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Na swoim obrazku prymicyjnym umieścił słowa: „Posyła mnie Bóg, abym głosił Ewangelię i leczył rany zboleiałych serc” (Ewangelia św. Łukasza 4,18). W latach 1972 – 1979 pracował jako wikariusz w parafiach: Trójcy Św. w Żąbkach, Matki Bożej Królowej Polski w Aninie i Dzieciątka Jezus na warszawskim Żoliborzu. Szybko okazało się, że ksiądz Jerzy ma niezwykle dar nawiązywania bliskich kontaktów z ludźmi, których potrafił słuchać i prawdziwie się nimi interesować. Parafianie wiedzieli, że mogą na niego liczyć, zawarł przyjaźnie z wieloma rodzinami. Wierni odwiedzali go, zapraszali do siebie, jeździli razem z nim na wycieczki, był dla nich jednak przede wszystkim duszpasterzem, choć nie nawracał ich na siłę.

W marcu 1979 r. zasłabł przy ołtarzu po czym musiał spędzić miesiąc w szpitalu. Wówczas kardynał Wyszyński na rok oddelegował go do pracy w duszpasterstwie akademickim przy kościele św. Anny. Jak wspominają studenci był dla nich wspaniałym przyjacielem, powiernikiem, doradcą i doskonałym spowiednikiem. Brał udział w studenckich wyprawach w góry, także i później gdy przeszedł do parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, gdzie zamieszkał jako rezydent w maju 1980 r. Także i to przeniesienie dokonane zostało ze względu na jego słabe zdrowie – na Żoliborzu miał tylko pomagać w parafii, ale pochłonęło go duszpasterstwo studentów i prężnie rozwijające się duszpasterstwo środowisk medycznych. Funkcja duszpasterza średniego personelu medycznego w Warszawie po-



Ksiądz Jerzy był zawsze dla ludzi.



Jako kapłan odprawiał liczne msze.



Jedno ze spotkań z Lechem Wałęsą.

Foto: Witold Rozmysłowicz/CAF

wierzona mu została już w lutym 1979 r. Gdy po raz pierwszy odprawiał specjalną mszę św. dla pielęgniarek w kaplicy Res Sacra Miser przyszła tylko jedna osoba. Wkrótce jednak msza stała się bardzo popularna. Po celebracji wygłaszał prelekcje związane z etyką zawodową. W Adwencie i w Wielkim Poście organizował dni skupienia i rekolekcje. Wiele uwagi poświęcał kwestii obrony życia nienarodzonych dzieci i konieczności udzielania konkretnej pomocy kobietom w ciąży w trudnej sytuacji. Zorganizował też specjalną bibliotekę medyczną, która służyć miała m.in. doksztalcaniu personelu medycznego w dziedzinie katolickiej bioetyki. W październiku 1981 r. otrzymał nominację na diecezjalnego duszpasterza służby zdrowia.

Solidarność, Solidarność!

Gdy w niedzielę 31 sierpnia 1980 r. cały kraj ogarnięty był falą strajków, robotnicy z Huty Warszawa szukali księdza, który mógłby odprawić mszę świętą w hucie. Kardynał Wyszyński zlecił znalezienie takiego księdza swojemu kapelanowi, a ten bez żadnego planu zatrzymał się przed kościołem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Okazało się, że księża pracujący na parafii są zajęci i wtedy do zakrystii wszedł ks. Popiełuszko, który zgodził się pojechać do huty. Tego dnia został z robotnikami do wieczora i otąd przychodził do huty po kilka razy w tygodniu. Hutnicy także odwiedzali go całymi rodzinami, z żonami, z dziećmi. Ta praca zaowocowała falą spowiedzi po kilkunastu latach, ślubów kościelnych i chrztów dorosłych.

Bliskość z hutnikami zbliżyła go do centrum ówczesnych wydarzeń. Wkrótce poświęcił sztandar „Solidarności” Huty Warszawa, a także z grupą hutników zawiązał uczestnikom I Krajowego Zjazdu „Solidarności” w Gdańsku tekst encykliki Jana Pawła II „Laborem exercens”. Podczas zjazdu codziennie odprawiał msze dla jego uczestników. Jesienią 1981 r. towarzyszył strajkującym studentom Akademii Medycznej w Warszawie i podchorążym w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa. Te ostatnie wydarzenia wywarły na nim wielki formacyjny wpływ i ukiełkowały jego dalsze losy.



Bł. Ks. Jerzy Popiełuszko – portret beatyfikacyjny.



Z rodzicami w dniu I Komunii Świętej.

Od początku stanu wojennego księdzem Popiełuską mocno zainteresowała się Służba Bezpieczeństwa, której funkcjonariusze wielokrotnie nachodzili żoliborską plebanię. Cudem uniknął aresztowania. Niemal natychmiast podjął akcję pomocy dla internowanych i ich rodzin. Koordynował m.in. akcję rozdzielania darów w parafii, przy czym zmienił swój pokój niemal w magazyn. Inicjował sprowadzanie lekarstw z Zachodu. Wyszukiwał potrzebujących i rozdawał – co tylko mógł. Oddał nawet własne buty. Był chrześcijaninem całym życiem, czemu dał dowód w pierwszych dniach stanu wojennego gdy wychodził z gorącą kawą do stojących na ulicznych posterunkach żołnierzy i milicjantów. Oczywiście pozostał także aktywnym duszpasterzem – odwiedzał uwięzionych, pojawiał się regularnie na salach rozpraw. Jego obecność podtrzymywała sądzonych na duchu.

Kazania księdza Jerzego

Od stycznia 1982 r. proboszcz żoliborskiej parafii ks. Teofil Bogucki zainicjował odprawianie mszy za Ojczyznę, któ-

re odbywały się w ostatnią niedzielę miesiąca. Msze te odprawiał ksiądz Jerzy, toteż szybko zaczęły one gromadzić tłumy wiernych. Były to swoiste magnesy przyciągającym tłumy była charyzmatyczna osoba młodego kaznodziei, który w swoich kazaniach odwoływał się do znanych z osobistych spotkań z wiernymi rzeczywistych ludzkich problemów, a jednocześnie nawiązywał do nauczania kardynała Wyszyńskiego i Jana Pawła II, przedstawiając je w prostych dla wszystkich zrozumiałych słowach. Jego słowa przyciągały zarówno robotników, jak i intelektualistów, zdarzało się, że przyjeżdżali go słuchać nawet znani członkowie PZPR. Na niedzielne msze przyjeżdżali wierni z całej Polski.

Nic więc dziwnego, że wkrótce władze PRL zaczęły naciskać kurie by uciszyła opozycyjnego kaznodzieję. Zarzucano mu uprawianie polityki i zachęcanie do manifestacji i wystąpień antypaństwowych, dowodów jednak na to nie było. W jego kazaniach nie było aspektów politycznych, choć słowa o prawdzie i piętnowanie przemocy czy obłądki musiały drażnić aparat propagandy i przemocy PRL. W swoich kazaniach ksiądz Jerzy jednak

nie nawoływał do protestów czy walki lecz zawsze odwoływał się do przesłania św. Pawła: „nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj” (List do Rzymian 12, 21).

Jak zwykle jego działalności, także mszom za Ojczyznę towarzyszyły liczne nawrócenia powroty do Kościoła po latach, wiele osób prosiło o chrzest. Jego

charyzma sprawiała, że wierni wychodzili z kościoła wewnętrznie uspokojeni i skłonni do chrześcijańskiego patrzenia nawet na swych prześladowców.

Niewygodny ksiądz

Ksiądz Jerzy oczywiście zdawał sobie sprawę, że jego działania są obserwowane

nie przez Służbę Bezpieczeństwa, a jego mieszkanie i telefon są podsłuchiwane. Zawsze był śledzony, podejmowano też próby zastraszania go i prowokacje. W grudniu 1983 r. został wezwany na przesłuchanie do prokuratury, zarządzono rewizję w zapisanym na niego przez ciotkę mieszkaniu, gdzie znaleziono podrzuconą uprzednio przez SB amunicję, nielegalne pisma i wiele innych kompromitujących materiałów. Spędził wówczas dwa dni w areszcie, skąd go wypuszczono po interwencji biskupa Dąbrowskiego. Nie uniknął jednak kolejnych wielogodzinnych przesłuchań odciągających go od pracy duszpasterskiej. Latem 1984 r. miał się odbyć przeciwko niemu proces, który jednak ze względu na ogłoszoną 22 lipca amnestią z okazji 40-lecia PRL nie doszedł do skutku. Ruszyła za to ostra nagonka prasowa na niepokornego księdza, którą rozpoczęło przez radzieckie pismo „Izwestii”, a w Polsce podjął m.in. Jerzy Urban, który zarzucił księdzu Jerzemu „organizowanie seansów nienawiści”.

Tymczasem mimo pogarszającego się stanu zdrowia ksiądz Jerzy podejmował kolejne działania. We wrześniu 1983 r. w porozumieniu z Lechem Wałęsą zorganizował pierwszą pielgrzymkę ludzi pracy na Jasną Górę, która odbywa się do dziś. Podczas przygotowań do drugiej pielgrzymki w 1984 r. otrzymywał anonimowe telefony, które najczęściej brzmiały: „Jeśli pojedziesz po raz drugi na Jasną Górę zginiesz”. Nie dał się zastraszyć, bo anonimów z pogrozkami otrzymywał już wcześniej. Jego przyjaciele wiedzieli, że liczył się ze śmiercią. Na prośbę hutników kardynał Glemp zaproponował Popiełuszcze wyjazd na studia do Rzymu, ale ksiądz Jerzy nie chciał wyjeżdżać. Tłumaczył, że wyjazd byłby zdradą wobec ludzi, którzy mu zaufali. Odtąd jednak wiele czasu poświęcił na porządkowanie swoich spraw, głęboką modlitwę i częste spowiedzi, z których ostatnią odbył w przeddzień porwania.

Męczeństwo księdza Jerzego

Jak podaje Leszek Szymborski w swojej publikacji „Sowiecki ślad” 3 września 1984 r. odbyło się spotkanie Wojciecha Jaruzelskiego z Czesławem Kiszczakiem i innymi wysokimi urzędnikami, podczas którego Jaruzelski miał powiedzieć do Kiszczaka: „Załatw to, niech on nie szczeka” (www.polskieradio.pl – 6 czerwca 2006). Urząd do Spraw Wyznań wystosował ostre pismo do Episkopatu, w którym naciskał na zaprzestanie tolerowania przez biskupów wystąpień niektórych duchownych. Wymieniono w nim wprost nazwisko księdza Popiełuszki. Wzmogły się wówczas anonimowe np. „Zostaniesz bohaterem narodowym numer dwa – po Przemysku”.

Pierwszy nieudany zamach na życie księdza Jerzego miał miejsce 13 października 1984 r. Była to próba upożyczenia wypadku samochodowego. Funkcjonariusze SB próbowali zatrzymać samochód wraca-



13 grudnia 2011 r. relikwie błogosławionego Jerzego Popiełuszki wprowadzono do opolskiej Katedry.



Tego samego dnia przed opolską Katedrą odsłonięto pomnik błogosławionego Jerzego Popiełuszki ufundowany przez Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Ziemi Opolskiej.



Rodzice ks. Jerzego podczas jego pogrzebu.



Pośmiertne zdjęcia męczennika obiegły cały świat.



Na pogrzeb Jerzego Popiełuszki przybyło między 600 a 800 tys. osób.

jącego z Gdańska księdza rzucając kamieniem w szybę. Kierowca zdołał jednak opasać kierownicę i uciec z tamtego miejsca. Jak wykazano w trakcie śledztwa już wtedy w bagażniku samochodu esbeków leżały worki, łopaty i kamienie do obciążenia zwłok.

19 października 1984 r. ksiądz Jerzy w towarzystwie swego kierowcy Waldemara Chrostowskiego udał się do Bydgoszczy, gdzie w kościele Świętych Polskich Męczenników prowadził rozważania do tajemnic różańca. Ostatnie słowa tych rozważań brzmiały: „Módlmy się, byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzy odwetu i przemocy”. W drodze powrotnej, wieczorem, samochód księdza został zatrzymany przez patrol drogowy. W rzeczywistości w milicyjne mundury przebrani byli funkcjonariusze SB – Grzegorz Piotrowski, Waldemar Chmielewski i Leszek Pękala. Waldemarowi Chrostowskiemu niemal cudem udało się wyswobodzić – gdyby nie to, śmierć ks. Jerzego stałaby się zbrodnią nieznanych sprawców. Mordercy działali w poczuciu bezkarności. Od swego przełożonego Adama Pietruszki otrzymali specjalne przepustki, które zwalniały ich od wszelkich kontroli. Ksiądz skrepowany i z kneblem na ustach bity był kilkakrotnie do nieprzytomności drewnianą pałą. Gdy oprawcy wrzucali do Wisły z tamy pod Włocławkiem obciążone kamieniami zmasakrowane ciało w foliowym worku, ksiądz Popiełuszko już prawdopodobnie nie żył.

Ucieczka Waldemara Chrostowskiego i jego relacja złożona w kurii a następnie wobec prokuratorów zmusiła władze PRL do rozpoczęcia oficjalnych poszukiwań księdza Jerzego. Ciało księdza Jerzego odnaleziono 30 października. Do tego momentu w całej Polsce modlono się o jego szczęśliwy powrót. Wiadomość o porwaniu i morderstwie kapłana obiegła cały świat. Jego pogrzeb 3 listopada 1984 r. zgromadził jak się szacuje od 600 do 800 tys. ludzi z całego kraju. Ksiądz Popiełuszko został pochowany na terenie kościoła parafialnego św. Stanisława Kostki w Warszawie, pod kamiennym nagrobkiem w kształcie krzyża. Już dwa dni po pogrzebie do warszawskiej kurii wpłynęły pierwsze próśby o beatyfikację.

Sprawy ukarani?

Jak stwierdzili śledczy, którzy wydobyli ciało męczennika z dna Zalewu Włocławskiego, ręce skrepowano tak, by próby poruszania nimi zaciskały pętlę na szyi. Zwłoki obciążono workiem wypełnionym kamieniami. Sekcja wykonana w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Białymstoku pod kierunkiem prof. Marii Byrdy wykazała ślady tortur.

W tzw. procesie toruńskim toczącym się od 27 grudnia 1984 do 7 lutego 1985 r. przed Sądem Wojewódzkim w Toruniu trzech oficerowie MSW: kpt. Grzegorz Piotrowski (naczelnik wydziału Departamentu IV), por. Leszek Pękala i por. Waldemar Chmielewski zostali oskarżeni i ska-

zani za uprowadzenie, torturowanie i zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki, zaś ich przełożony płk Adam Pietruszka (zastępca dyrektora Departamentu IV MSW) – za sprawstwo kierownicze zbrodni. Prokurator Leszek Pietrasiński żądał kary śmierci dla Piotrowskiego oraz kar pozbawienia wolności dla pozostałych oskarżonych. Sąd, któremu przewodniczył SSW Artur Kujawa, a sprawozdawcą był SSW Jurand Maciejewski, wymierzył Grzegorzowi Piotrowskiemu karę 25 lat pozbawienia wolności, Adamowi Pietruszce – 25 lat, Leszkowi Pękali – 15 lat, Waldemarowi Chmielewskiemu – 14 lat. W 1986 w wyniku interwencji „człowieka honoru” Czesława Kiszcza trzem sprawcom złago-

Inne hipotezy

Proces toruński, a potem także dotyczący tej sprawy, a obejmujący jako oskarżonych zwierzchników SB generałów Władysława Ciastonia i Zenona Płatka (oba w 1994 zostali uniewinnieni z zarzutu współsprawstwa), nie ujawnił wszystkich okoliczności i inspiratorów zbrodni, co budzi do dziś liczne dyskusje. Oficjalna wersja uprowadzenia i morderstwa była wielokrotnie kwestionowana.

Pod koniec 2002 r. prokurator Andrzej Witkowski z pionu śledczego IPN w Lublinie zasugerował nową wersję zabójstwa ks. Popiełuszki, podważając dotychczasowe ustalenia sądu w Toruniu. Trwa-



14 czerwca 1987 r. przy grobie księdza Jerzego Popiełuszki modlił się papież Jan Paweł II.

dzono karę: Adamowi Pietruszce karę 25 lat zamieniono na 15 lat, Leszkowi Pękali z 15 lat obniżono do 10 lat, Chmielewskiemu z 14 lat do 8.

W grudniu 1987 sprawców objęła kolejna amnestia – Pietruszce złagodzono karę z 15 do 10 lat (wyszedł na wolność z więzienia w Opolu przy ul. Partyzanckiej w 1995 r.); Pękali z 10 do 6 lat, Chmielewskiemu z 8 do 4 lat i 6 miesięcy. Piotrowskiemu zamieniono karę z 25 na 15 lat, wyszedł na wolność w 2001. Dokument podpisany przez gen. Kiszcza odnaleźli historycy IPN. Pismo jest datowane na 26 listopada 1987 r., a jego adresatem jest Józef Żyta, prokurator generalny PRL. Kiszcza wnosił o „złagodzenie orzeczonych prawomocnie kar pozbawienia wolności wobec Grzegorza Piotrowskiego, Adama Pietruszki, Leszka Pękali i Waldemara Chmielewskiego”.

ją starania nad ustaleniem czy za zabójstwem stały osoby „wyżej postawione w hierarchii partyjno-państwowej”. W 2008 sformułowaną przez Witkowskiego hipotezę, zakładającą, że Jerzy Popiełuszko nie zginął 19, lecz 25 października, po kilkudniowych torturach w bunkrach w Kazuniu, ponownie przywołał były prokurator IPN Leszek Pietrzak. Hipoteza ta została skrytykowana jako nieoparta materiałem dowodowym przez m.in. Witolda Kuleszę i Krzysztofa Piesiewicza.

Pomoc w uprowadzeniu i współpracy z SB zarzuczano również Waldemarowi Chrostowskiemu. Historyk Jan Żaryn uważa jednak, że ta teza nie ma oparcia w zachowanym materiale dowodowym.

Źródła: Wojciech Sumliński „Kto naprawdę go zabił?”, www.ekai.pl, www.wikipedia.pl, www.polskieradio.pl, www.ipn.gov.pl, www.solidarnosc.org.pl



Warszawa 19 maja 1983 r. pogrzeb Grzegorza Przemyska.



Trumna ks. Jerzego Popiełuszki na ramionach hutników.



Niezliczone wieńce na grobie księdza Jerzego.

Piotr Skrobotowicz - pasjonat elektroniki

Nadaje Radio Solidarność

Współtwórca jednej z największych organizacji „Solidarność” w województwie opolskim Piotr Skrobotowicz skutecznie ukrywał się przez blisko 16 miesięcy stanu wojennego. W tym czasie SB do jego poszukiwania zaangażowało kilkudziesięciu funkcjonariuszy i tajnych współpracowników oraz liczne „kontakty operacyjne”. Na próżno. Nigdy nie dowiedzieli się gdzie spędził pierwsze miesiące stanu wojennego, ani też, że w tym czasie był jednym z filarów wrocławskiego podziemnego „Radia Solidarność”.

Piotr Skrobotowicz od zawsze fascynował się elektroniką, może trochę także dlatego, że mieszkał niedaleko Zespołu Szkół Elektrycznych przy ul. Kościuszki 26 w Opolu. W tych czasach – lata 60-te XX w. elektronika była dziedziną przyszłości, dynamicznie się rozwijała także w naszym kraju i jako taka była obszarem dającym duże możliwości. Po ukończeniu opolskiego „elektryczniaka” próbował dostać się na wydział elektroniki Politechniki Wrocławskiej, ale za pierwszym razem się nie udało. Trzeba było pójść na rok do pracy, zatrudnił się więc w placówce małej usługowej ZURiT-u przy ul. Mondrzyka (dziś Osmańczyka). Dziś nie każdy wie lub pamięta, że Zakłady Usług Radiowych i Telewizyjnych były państwową siecią placówek naprawiających sprzęt RTV.

– Tam nauczyłem się elektroniki, zawodu, wchodziły wtedy na rynek pierwsze półprzewodnikowe radia, takie jak koliber i inne – wspomina Piotr Skrobotowicz.

PASJA ŻYCIA

Rok pracy pozwolił Skrobotowiczowi pogłębić wiedzę elektroniczną także o praktykę. Studia na politechnice przerwały wydarzenia roku 1968, w które zaangażował się zbyt aktywnie, co zaowocowało relegowaniem z uczelni i powołaniem do wojska. Po różnych perypetiach (czytaj HL nr 2/2011) ostatecznie skończył studia i wrócił do Opolu i do pracy w ZURiT-cie. Wkrótce w ramach modnych w PRL reorganizacji ZURiT został włączony do Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego.

– Zostałem tam kierownikiem laboratorium, podlegało mi wyposażenie warsztatów w całym województwie i szkolenia – wspomina. – Wchodziły do powszechnego użytku tranzystory i telewizja kolorowa, trzeba było szkolić pracowników. Pojawiły się kolorowe telewizory takie jak rosyjski rubin i nasze

neptuny oraz produkty Warszawskich Zakładów Telewizyjnych. Polski przemysł elektroniczny był wtedy na wysokim poziomie i szybko się rozwijał. Działali tacy producenci jak Eltra Bydgoszcz, Radmor Gdańsk, Diora, Kasprzak. Trzeba było temu sprzętowi zapewnić serwis. Potrzebne były szkolenia dla pracowników placówek ZURiT-u i ja dostałem zadanie organizowania takich szkoleń. Było pewne wsparcie centrali w Warszawie, pion techniczny żył zawsze swoim życiem. Warszawa wydawała biuletyny, w których publikowano analizy różnych praktycznych problemów, pojawiały się tam pomysły na praw zagranicznego sprzętu z wykorzystaniem przeróbek dostępnych u nas elementów. Myśl praktyczna się rozwijała, a my pracowaliśmy sobie spokojnie i dobrze.

Jego pasja i wiedza były dobrze oceniane, to też zaproponowano mu nawet stanowisko dyrektora w wojewódzkich strukturach przedsiębiorstwa, ale wiązało się to z koniecznością wstąpienia do PZPR, na co nie przystał. Wobec tego mianowano go głównym specjalistą. Kiedy w sierpniu 1980 r. dowiedział się o wybuchających w całym kraju strajkach wziął tydzień urlopu i pojechał zobaczyć co się dzieje do Wrocławia, gdzie miał wielu kolegów ze studiów.

PIERWSZY STRAJK W OPOLU

– Byłem w wielu miejscach, koczowałem pod zajezdnią tramwajową, widzieliśmy orkiestrę Opery Wrocławskiej, która występowała dla strajkujących na specjalnym podium. Dyrygował nią hrabia Dzieduszycki, zresztą agent od lat 50-tych – wspomina. – Wszystko się wtedy kotłowało. Przyjechałem w sobotę z Wrocławia, patrzyłem na to nikt nie strajkuje, więc przyjąłem sobie za punkt honoru sprawić, żeby i w Opolu wybuchł strajk solidarnościowy. Kupiłem kwia-

ty i poszedłem do zajezdni PKS przy dworcu. Powiedziałem ludziom na bramie, że ich baza na Rodziewiczówny już strajkuje i dałem im kwiaty, to oni postawili wazon, położyli szlaban i zaczęli strajkować, potem pobiegłem na Rodziewiczówny i powiedziałem, że baza przy dworcu strajkuje, więc i oni postawili szlaban. W ten sposób honor Opolu został uratowany. Taki był mój wkład w ten strajk.

Już wkrótce zainicjował powstanie grupy inicjatywnej dla założenia związków zawodowych w WPHW, siłą rzeczy weszli do niej głównie pracownicy pionu usług. Równolegle w znajdującej się na drugim końcu miasta dyrekcji WPHW powstała grupa działaczy zainicjowana przez Jerzego Lysiaka.

– Wtedy osobiście go nie znałem, wiedziałem, że pracuje przy dyrektorcie Dubielowej na ul. Cementowej, a ja miałem swoją siedzibę na Ostrówku, tam gdzie dziś jest restauracja Starka – wspomina Piotr Skrobotowicz. – Tam gdzie jest ozdobne okno na pierwszym piętrze było laboratorium. Na podwórku był skład z przecenionym sprzętem elektronicznym, do którego wpuszczano tylko wtajemniczonych towarzyszy partyjnych. Tam zaczęliśmy namawiać kolegów na założenie związków zawodowych, chętni byli niemal wyłącznie z zakładów usługowych, z handlu prawie nikogo.

Wkrótce po podpisaniu porozumień sierpniowych odbyły się pierwsze zebrania założycielskie „S” w Opolu.

– Najpierw spotkaliśmy się na tyłach sklepu telewizyjnego przy rynku, dziś tam jest galeria sztuki – wspomina Piotr Skrobotowicz. – Była tam niewielka salka, do której wchodziło się od ul. Szpitalnej. Był tam straszny tłok, pamiętam, że przyszedł też Bruno Tomaszek, wtedy pierwszy sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w WPHW, on chciał być wszędzie.

TYGODNIÓWKA SOLIDARNOŚCI WPHW OPOLE



SOLIDARNOŚĆ RUCH MASOWY

Następne spotkanie odbyło się w klubie „Beskid” przy ul. Luboszyckiej (na dole był punkt ZURIT-u), gdzie powołano komitet założycielski związków zawodowych WPHW, którego przewodniczącym został Piotr Skrobotowicz. Wtedy dowiedzieli się, że w dyrekcji firmy przy ul. Cementowej też zakładają „Solidarność”.

– Początkowo podejrzewałem Jurka, że to jakiś prowokator z dyrekcji, bo o dziwo do jego komitetu wstąpiło sporo kadry z dyrekcji – wspomina. – Kiedy się o nich dowiedzieliśmy odbyło się spotkanie obu grup, na którym mnie akurat nie było bo byłem w tym czasie we Wrocławiu. Sytuacja była tak dramatyczna, że o mało się nie pobili, ale w końcu doszli do porozumienia i założyli Tymczasową Komisję Zakładową. Wtedy wspólnie z Jurkiem Łysiakiem zaczęliśmy jeździć po placówkach należących do WPHW w całym województwie i zakładaliśmy koła „Solidarności”. Założyliśmy tych kół chyba ze 34, wstąpiło do nich bardzo dużo pracowników, nasza organizacja liczyła około 4000 członków. Jesienią w opolskiej sali NOT-u odbyły się wybory. Delegacje były z całego województwa, ujawniło się wtedy bardzo wielu wspaniałych aktywnych ludzi, którzy zostali lokalnymi liderami i na miejscu organizowali pracę związkową. W wyborach na przewodniczącego startowałem ja i Jurek, ja dostałem 80 proc. głosów, wystąpiłem i powiedziałem, że zostanę przewodniczącym jeśli moim zastępcą zostanie Jurek Łysiak. Mieliliśmy wtedy już na tyle dużą organizację związkową, że obaj dostaliśmy etaty i mieliśmy też sekretarkę, która jak się potem okazała była agentką SB. Po latach dowiedziałem się, że było wiele osób, które na mnie donosiły.

3 kwietnia 1981 r. ukazał się w nakładzie 500 tys. egzemplarzy pierwszy numer „Tygodnika Solidarności”. Ze względu na wielkość organizacji w WPHW i ogromny głód wiadomości, postanowiono własnym sumptem dodrukować 1000 egzemplarzy. Uzyskano zgodę dyrekcji na wykorzystywanie przez związek posiadanej w firmie maszyny offsetowej romayor, trzeba było jeszcze kupić papier i zapłacić pracownikom, ale związek znalazł na to pieniądze. Od tej pory aż do stanu wojennego dodrukowywano co tydzień 1000 egzemplarzy deficytowego „Tygodnika”.

– Głód informacji był taki, że już z drugim numerem „TS” wydaliśmy własne pismo „Tygodniówkę Solidarności WPHW” – opowiada Piotr Skrobotowicz. – Nie zawsze udawało się wydać ją co tydzień, ale do stanu wojennego ukazało się ponad 30 numerów. Poruszaliśmy tam tematy zakładowe i ogólne. W zasadzie wszystkie teksty pisał Jurek Łysiak. Objętość była różna



Piotr Skrobotowicz pokazuje swoje dzieła – nadajniki „Radia Solidarność”.

w zależności od materiałów. W związku staraliśmy się dużo zajmować sprawami pracowniczymi i angażować się w życie gospodarcze firmy, staraliśmy się o wprowadzenie tzw. bodźców ekonomicznych i o większą samodzielność dla kierowników sklepów. Dla komuny to było nie do przyjęcia, bo kadrze nie mieściło się w głowach, że ludzie mogą coś zrobić, jeśli im się nie każe.

CIOS W PRÓŻNIĘ

– W sobotę 12 grudnia, było zimno, pojechaliśmy tego dnia do Wrocławia, do Ryska Wojtasika, który działał na Mazowieckiej w Zarządzie Regionu. On tam prowadził radio. Nagrywał setki kaset i kurierzy rozwozili je do zakładów, gdzie puszczano je w radiowęzłach. Ja się chciałem pod to jakoś podpiąć – wspomina Piotr Skrobotowicz. – Około 22 wyjechałem moim maluchem do Opola. Już koło dworca wschodniego stała milicja. W tym czasie wynajmowałem mieszkanie przy ul. 1 maja, ale SB o tym nie wie-

dział, więc w nocy przyszli po mnie na ul. Kościuszki do mojej matki, która powiedziała im, że nie wie gdzie jestem. Rano zadzwonił do mnie Janusz Dąbrowski, który pracował w Polmozbycie i mówi: „Nie złapali cię? Wojsko na ulicy.” Mieszkał na koszyka na 10 piętrze i od niego dobrze widać było ruch wojska na głównej ulicy Zaodrza. Wsiadłem w malucha i pojechałem do niego, tam spędziliśmy dzień zastanawiając się co dalej i obserwując odbywający się tam przez cały dzień ruch woźów bojowych i czołgów, które nie wiadomo dokąd jechały.

O dalszych losach Piotra Skrobotowicza zdecydował ból zęba: – Pomyślałem, że jak mnie zamkną, to tak mi tym zębem dadzą w kość, że się nie pozbięram, postanowiłem więc tę sprawę jak najszybciej rozwiązać. We wtorek 15 grudnia poszedłem do znajomego dentysty, który był szefem studium doskonalenia stomatologów nad kinem Odra, a przy okazji mocno partyjny i on mi ten ząb wyrwał. Ze względu na stan zapalny dał mi też madroxin taki sulfonamid, leczyło się nim zanim nastała era powszechnych antybio-

TYGODNIÓWKA SOLIDARNOŚCI WPHW OPOLE



tyków. To lekarstwo mnie uczuliło tak, że zlała mi skóra z języka i dostałem wysypki. Poszedłem więc do przychodni dermatologicznej przy ul. Mickiewicza do pani doktor Sikorskiej i mówię, że mam uczulenie, dała mi maści, ale po paru dniach powiedziałem jej, że to mi nie schodzi i może by mi dała skierowanie do szpitala. No i dała. Wtedy chyba było łatwiej z takimi rzeczami.

Po kilku dniach koczowania u znajomych Piotr Skrobotowicz całkiem legalnie został przyjęty na oddział dermatologiczny do szpitala przy pl. Armii Czerwonej (dziś Kopernika). Gdy rejestratorka zapytała gdzie pracuje odparł, że nigdzie bo się właśnie zwolnił, więc w kwestionariuszu w rubryce miejsce pracy wstawiła kreskę. Dzięki temu szpital nie zawiadomił pracodawcy o przyjęciu pracownika na oddział, co w tamtych czasach było obowiązkowe. W szpitalu spędził blisko miesiąc.

POSZUKIWANY SKROBOTOWICZ

– Był tam automat telefoniczny, z którego wydzwaniałem do znajomych z WPHW i opowiadałem różne bzdury, co to ja nie robię, że brodę zapuściłem, że dla niepoznaki chodzę w czapce, żeby myśleli, że cały czas krązę po mieście i żeby przypadkiem nie wpadli na pomysł, żeby mnie szukać w szpitalu – wspomina. – Zostałem w szpitalu do nowego roku, było to trochę podejrzane, bo wszyscy wyszli na święta i sylwestra na przepustki a ja jeden zostałem. Tylko dwóch zaufanych kolegów mnie odwiedzało w szpitalu, żaden mnie nie wydał.

Po wyjściu ze szpitala przez jakiś czas ukrywał się u starszego małżeństwa w mieszkaniu przy ul. Książąt Opolskich, co zorganizował Tadeusz Małachowski: – Mieli pokój i kuchnię, kiedy do nich przychodzili goście chowałem się pod łóżko. Mieszkalem tam około miesiąca, było to bardzo kłopotliwe, bo na trzy osoby było mało miejsca. Potem Tadeusz m załatwił inne lokum na ZWM-ie, gdzie mieszkalem z małżeństwem, które wychodziło do pracy, miałem własny pokój, więc z nudów zacząłem robić jakieś nadajniki długofalowe, chodziłem na dach. W międzyczasie przyszła wiosna i stwierdziłem, że szkoda marnować czasu ukrywając się i pojechałem do Wrocławia. Nawiązałem kontakty z kolegami, Rysiek Wojtasik.

W tym czasie opolska Służba Bezpieczeństwa intensywnie poszukiwała nieuchwytnego działacza. W materiałach IPN zachował się plan przedsięwzięcia operacyjnych jakie podjęto w celu schwytania Piotra Skrobotowicza. Dokument oprócz skróconego życiorysu opozycyjnego zawiera 17 zadań dla poszczególnych komórek opolskiej Służby Bez-

pieczeństwa z rozpisaniem na konkretne osoby, od obserwacji mieszkania matki, poprzez skaptowanie skłóconego z nią sąsiada, ustalenie sygnałów alarmowych dla agentów pracujących w WPHW na wypadek pojawienia się poszukiwanego, sprowadzenie z Wrocławia pełnej dokumentacji z czasu rozpracowywania go podczas studiów, sprawdzenie kontaktów z okresu studiów, nałożenie stałej obserwacji na samochody, którymi w ostatnich miesiącach poruszał się poszukiwany (samochody znajomych, którzy go podwozili), kontrola korespondencji wszystkich znanych SB znajomych poszukiwanego, nawiązanie współpracy z zazwyczaj lekceważonymi przez SB wydziałami kryminalnym i ruchu drogowego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w celu wytypowania do obserwacji adresów gdzie kiedykolwiek widziano Piotra Skrobotowicza, nawiązanie podobnej współpracy z placówkami SB we Wrocławiu, Gdańsku, Lublinie i Białej Podlaskiej, przeprowadzenie rozmów operacyjnych z rodzicami poszukiwanego w celu przekonania ich by namówili syna do ujawnienia się i inne podobne działania. Każde zadanie opatrzone było nazwiskiem odpowiedzialnego oficera i pseudonimami wytypowanych do jego realizacji tajnych współpracowników. Wszystko na próżno.

RADIO SOLIDARNOŚĆ

– Późną wiosną 1982 r. dogadałem się z wierszuską wrocławskiej „Solidarności” i ustaliliśmy, że opracuję konstrukcję i zorganizuję dla nich podziemną fabrykę nadajników dla podziemnego „Radia Solidarność” – wspomina Piotr Skrobotowicz. – Pracowało w niej siedem osób, które się wzajemnie nie znały, kolega z radiotechniki, inny z uniwersytetu, każdy był specjalistą z innej dziedziny i co innego robił. Np. płytki drukowane trawiłem u Marka Trzeciakowskiego w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych IASE, vis a vis ZOO. Najpierw zrobiłem prototypy, a potem ruszyła niemal seryjna produkcja. Część prac wykonywałem w warsztatach uniwersytetu koło obserwatorium astronomicznego, dużo mi robili też w Radiotechnice. Czasami też przyjeżdżałem do Opola, np. blachę miedzianą 1,5 mm dostarczał mi Józek Gorzkowski z opolskiej Wagonówki.

Wkrótce powstała konstrukcja i dokumentacja, którą powielono w ponad 100 egzemplarzach aby ją rozkolportować po kraju, żeby w innych miastach też można było podjąć podobną produkcję lub naprawiać wrocławskie urządzenia. Wyprodukowano około 100 nadajników, ale były one praktycznie jednorazowe. Były one instalowane na dachach wybranych budynków we Wrocławiu i uruchamiane w zapowiedzianym przez ulotki i podziemną prasę terminie. Na audycje czekały tysią-

ce słuchaczy, ale także setki agentów SB, którzy nie ustawiali w staraniach o namierzenie nadajników i często im się udawało je znaleźć. Nadajnik był podłączony do małego samochodowego magnetonu. Podstawowy nadajnik miał moc 40 watów. Z czasem opracowano do niego „dopalacz” dający 100 watów. Do nadawania używano zaadaptowanych standardowych anten odbiorczych typu Yagi z kablem 75-omowym. Urządzenia działały na ówczesnych standardowych zakresach UKF 68-73 MHz.

– Pod koniec, kiedy już w mieście bardzo nas prześladowali, takim nadajnikiem nadawaliśmy z góry w Białym Kościele koło Trzebnicy. 100 wat w antenie to było dużo. Trzeba było to zasilać dużymi akumulatorami – wspomina Piotr Skrobotowicz. – My zajmowaliśmy się sprawami technicznymi – produkcją sprzętu, kto inny robił audycje, kto inny biegał po dachach i to instalował. To byli odważni ludzie. Raz audycja była już zapowiedziana, a my się spóźniliśmy z produkcją nadajnika, więc ta grupa, która miała ją instalować się zbuntowała i powiedzieli, że skoro my w ostatniej chwili dajemy nadajnik, to oni na dach nie idą. Musiałem sam pójść na dach i to złożyć. Wszystko było dobrze zorganizowane. Specjalna grupa wyznaczała budynek, kilka dni wcześniej szli do wyłazów na dach, rozcinali kłódki i zakładali swoje, więc dostałem kluczyk z dokładną instrukcją. Z duszą na ramieniu wszedłem na drabinę, kluczyk działał, postawiłem nadajnik, zszedłem, zamknąłem na kłódkę. Nadajniki były tak skonstruowane, że miały 10 minut czystej rozbiegówki. Dopóki nie było sygnału akustycznego to nadajnik nie działał. Zrobiłem taki układ elektroniczny, który włączał nadajnik w chwili gdy pojawiał się sygnał akustyczny, a gdy sygnał zanikał nadajnik „zdychał” i dzięki temu cały układ był trudniejszy do namierzenia przez SB.

Do zasilania używano łączonych szeregowo pakietów „płaskich” baterii 4,5 V, uzyskując napięcie 28 volt, co w zupełności wystarczało na wyemitowanie 5-minutowej audycji „Radia Solidarność”.

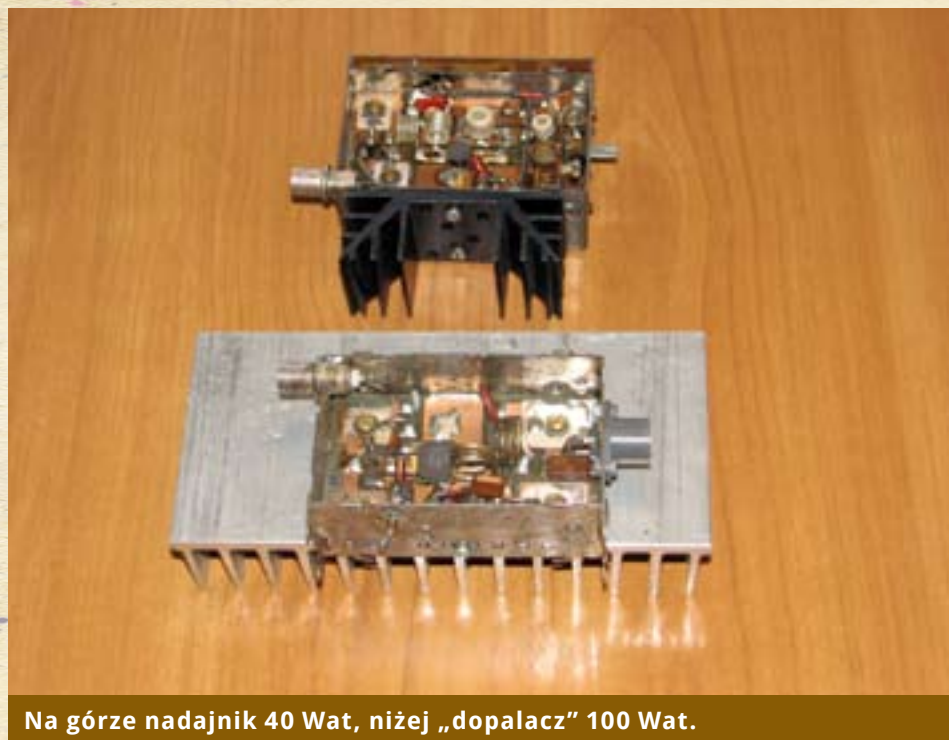
Z ODDECHEM SB NA PLECACH

Służba Bezpieczeństwa nie próżnowała, w okolicach tajnego warsztatu, w którym uruchamiano próbne nadajniki coraz częściej widziano podejrzane samochody, prawdopodobnie z pelengatorami (urządzeniami do namierzania nadajników).

– SB coraz bardziej chodziła nam po piętach. Do próbnego uruchomienia nadajnika trzeba było go włączyć, a 40 wat było łatwo pelengować, więc czując oddech SB na plecach przenieśliśmy ostatni etap produkcji do garażu jednego z kolegów w Trzebnicy i tam stroiliśmy te nadajni-

TYGODNIÓWKA SOLIDARNOŚCI WPHW OPOLE





Na górze nadajnik 40 Wat, niżej „dopalacz” 100 Wat.

ki – wspomina Piotr Skrobotowicz. – Na początku audycja wchodziła na wolne częstotliwości, ale to było łatwo namierzyć, więc wpadliśmy na pomysł, żeby wchodzić na częstotliwości słabych nadajników, np. czeskich rozgłośni i je lokalnie wypierać. Wtedy trzeba było więcej naszych nadajników. Pamiętam, że maksymalnie pracowało naraz pięć naszych nadajników w różnych punktach Wrocławia. Nie wiem jak często udawało się odzyskać nadajnik, ja je tylko produkowałem i oddawałem innym, a tam już czarna dziura. Na tym polegała konspiracja.

W obliczu zagrożenia wpadką jesienią 1982 r. zakończono podziemną produkcję. Gotowe urządzenia przekazano zwierzchnikom, a części ukryto w skrytce w piwnicy jednego z kolegów. Z tego źródła Piotr Skrobotowicz po latach odzyskał dwa urządzenia, które ma do tej pory: nadajnik i dopalacz.

– Potem jeszcze opracowałem nadajnik na telewizyjną częstotliwość 228 MHz powstał zrobiony prototyp, audycje miały wchodzić na fonie programów telewizyjnych, ale to nie doczekało się realizacji w praktyce – wspomina. – 31 marca 1983 r. przyjechałem do Opola i poszedłem do Jurka Łysiaka, który w międzyczasie wrócił

z „internatu” do pracy. Pogadaliśmy i pojechał ze mną na komendę MO, gdzie się ujawniłem. Ogłaszali to w telewizji i pisali w „Przekroju”, że „w Opolu ujawnił się były przewodniczący byłego związku zawodowego Skrobotowicz”.

NA SWOIM

Po ujawnieniu Piotr Skrobotowicz rozpoczął pracę w Zakładach Naprawczych Sprzętu Medycznego przy ul. Oleskiej (dziś jest tam WORD): – W 1984 r. na placu Sebastiana zatrzymał mnie patrol milicji, któremu zrobiłem wykład na temat marksizmu komunizmu, powstała z tego notatka służbowa i w moim zakładzie pracy pojawili się esbecy, po których wizycie dyrektor powiedział mi, że dobrze by było, żebym się sam zwolnił. Więc się zwolniłem i zacząłem się rozglądać za pracą na własny rachunek. Okazało się, że muszę zdać egzamin czeladniczy w Izbie Rzemieślniczej. Zdałem ten egzamin i na podstawie zaświadczenia, że jestem czeladnikiem wystąpiłem do Urzędu Miasta o przydział lokalu na świadczenie usług elektroniki samochodowej. Tak długo nękałem urzędników aż przydzielili mi pomieszczenie 23 m kw. w suterenie

koło Filharmonii. Sufit się tam walił, ale kiedy pomogli zrobić remont i tam uruchomiłem pierwszy warsztat. Zawsze mnie interesowały sprawy elektroniki motoryzacyjnej, zacząłem wtedy robić elektroniczne oszczędzacze paliwa do małego i dużego fiata oraz tyrystorowe moduły zapłonowe. Tam też zrobiłem pierwszy regulator do prądnicy do małego fiata. Jak się to przyjęło zaczęliśmy je produkować na większą skalę. Mieliliśmy tam prasę mimośrodową, jak pracowała wszystko się trzęsło. W pewnym momencie pracowało tam siedem osób. Później już nie angażowałem się w działalność związkową, miałem swoją firmę, a jak się chce coś osiągnąć to trzeba się w to w pełni zaangażować. W wynajętych od GS pomieszczenia po dawnym barze „Ewa” przy ul. Ozimskiej. Tam zainstalowaliśmy pierwszą wtryskarke, weszliśmy jak dostawca do FSO, dla którego zrobiliśmy kilka rewolucyjnych rozwiązań do poloneza, potem znów się dusiliśmy więc wynajęliśmy pomieszczenia od spółdzielni Odra.

Obecnie zajmująca się produkcją elektronicznych podzespołów do samochodów firma Piotra Skrobotowicza Auto Power Electronic mieści się przy ul. Zbożowej w Opolu i stale prowadzi się w niej badania nad nowymi rozwiązaniami.

– W każdej dziedzinie jeżeli się chce coś robić na najdrobniejszą skalę trzeba mieć jakiś rozwój. My tym rozwojem się zajmujemy w ograniczonych warunkach, bo nas tu inżynierów jest praktycznie czterech i robimy co się da – mówi Piotr Skrobotowicz. Jeden z kierunków tego rozwoju to współpraca z Politechniką Opolską: – Współpracujemy obecnie z młodymi zdolnymi doktorantami w zakresie badań nad sterowaniem silnikami diesla, łącznie ze sterowaniem pompy wtryskowej, mamy w tym pewne osiągnięcia. Wkrótce prześlemy politechnice samochód panda z automatyczną skrzynią biegów, żeby można było ją zsynchronizować z napędem elektrycznym. Dlatego automatyczna skrzynia biegów, żeby zarządzający silnikiem komputer mógł sam wybierać rodzaj pracy obserwując stan naładowanie akumulatorów i poziom paliwa. Chodziło o to by zrobić auto niestresujące, żeby w 90 proc. jeździć na energii elektrycznej a w sytuacjach awaryjnych, żeby można było zawsze przejść na układ hybrydowy. Jest to hybryda nie szeregową i nie równoległą. Wielkie koncerny wydają na to miliardy dolarów, my robimy to w ramach rozwoju intelektualnego, żeby się przekonać czy w tej dziedzinie da się coś zrobić i na jaką skalę. W sferze badań, prototypów i pierwszych realizacji są prace nad systemem energooszczędnego oświetlenia typu led. Być może na tej bazie powstanie kiedyś druga „noga” firmy.

Bolesław BEZEG

TYGODNIÓWKA SOLIDARNOŚCI WPHW OPOLE



Roman Kirstein: stanu wyjątkowego spodziewaliśmy się już w marcu 1981 r.

Opolska „Pierwsza Solidarność”

O tym jak powstała „Solidarność” na Opolszczyźnie, pracy w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim, infiltracji związku przez SB i trudnym czasie stanu wojennego rozmawiamy z Romanem Kirsteinem jednym z twórców opolskiej „Solidarności”.

– Jak to się stało, że Solidarność powstała w Opolu? Mieliśmy jakieś kontakty z Gdańskiem czy innymi ośrodkami?

– To co działo się w kraju, działo się wszędzie, informacje w różny sposób docierały. Ponieważ pochodzę z Grudziądza, akurat latem 1980 r. tam byłem. Do Gdańska dostać mi się nie udało, bo w Tczewie zatrzymywano pociągi, dojechaliśmy do Malborka i wróciliśmy. Ale tam już można było czegoś się dowiedzieć. W latach 70-tych pracowałem w Pomorskiej Odlewni nr 1 w Grudziądzu i tam pracował z nami pan Edmund Zadrożyński, który był jednym z więźniów politycznych, o których w 1980 r. strajkujący domagali się zwolnienia. Wtedy był już działaczem w Gdańsku. Był to bardzo ciekawy człowiek i bardzo często zamykany przez SB, rozmowy z nim były bardzo ciekawe.

29 sierpnia przyjechałem do Opola tu już wrzało. Zaczęliśmy z kolegą organizować spotkania pracowników, byłem wtedy kierownikiem bazy w Opolskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich. Tam, jak wszędzie były pewne roszczenia, w związku z tym 30 sierpnia zebraliśmy ludzi, spisaliśmy postulaty, m.in. że chcemy związków zawodowych. Nie były to polityczne żądania, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że powstanie „Solidarność”, wobec tego w porozumieniu zapisaliśmy termin do kiedy mają się odbyć wybory do związków zawodowych. Nawet przeprowadziliśmy jednodobowy strajk, na koniec którego podpisane zostało z nami porozumienie przez szefa zjednoczenia. Po tym strajku przystąpiliśmy do pracy nadal oflagowani w ramach poparcia dla stoczniovców. W Opolu było mało takich ruchów, nikt nie działał na terenie całego miasta, jeżeli coś się działo to na terenie zakładów. W związku z tym zaczęliśmy szukać innych grup inicjatywnych, żeby się zjednoczyć. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy zobaczyć co się dzieje we Wrocławiu. Chyba to było 5 września wziąłem urlop i pojechaliśmy do tworzącego się tam MKZ-tu. (Międzyzakładowy Komitet Założycielski – red.) Przewodniczącym był tam wtedy pan Jerzy Piórkowski, z który nam powiedział, że należy tworzyć własne struktury i że dzień wcześniej byli tam ludzie z opolskiej kolumny sanitarnej i z MPK. „Idźcie do nich i tam się zapisujcie, potem zobaczymy.” Po powrocie do Opola poszedłem do pana Gelety do MPK, on mówił, że już zdecydowali, że będziemy się wszyscy spisywali w kolumnie sanitarnej i tak się zaczęło. Informacja szła dalej pocztą pantoflową, zaczęliśmy się zwoływać i zapisywać na listę tworząc MKZ. Można liczyć, że MKZ powstał w dniach 5-6 września 1980 r. Również we Wrocławiu dowiedziałem się, że 17 września jest w Gdańsku pierwszy zjazd ludzi z całego kraju, którzy pozakładali w kraju MKZ-ty lub Międzyzakładowe Komitety Strajkowe. Piórkowski proponował, że jak chcemy to on nas tam będzie reprezentował, ale po powrocie do Opola i roz-

mowach z panami Bardorem, Geletą i postanowiliśmy, że pojedziemy sami. Bogusław Bardon, Edward Żuraw i ja, zapakowaliśmy się do mojego malucha i pojechaliśmy do Gdańska.

Na spotkaniu w Gdańsku, które odbyło się w siedzibie przy ul. Grunwaldzkiej spotkaliśmy innych przedsta-

wicieli z Opolszczyzny, pana Kraśnika z Kędzierzyna i pana Forystka z Prudnika. Na tym pierwszym posiedzeniu podjęto decyzję, że siedziby całą noc i piszemy statut, dyskusja toczyła się czy związek ma być federacyjny, czy ogólnopolski, stanęło na tym, że ogólnopolski, za czym optował głównie Karol Modze-



Wizyta Lecha Wałęsy w Opolu, spotkanie w amfiteatrze.



Wizyta Lecha Wałęsy w Opolu.

Foto: Archiwum Romana Kirsteina

Foto: Archiwum Romana Kirsteina

lewski. Powstał zarys statutu, zapisywali się ludzie, którzy będą reprezentowali poszczególne regiony, ja zostałem wydelegowany jako sygnatariusz do podpisania statutu, pan Bardon do Komisji Krajowej i rozjechaliśmy się do domów. Zaraz następnego dnia po powrocie do Opola spotkaliśmy się w Kolumnie Sanitarnej, bo tylko tam dostawaliśmy salę, nie wiemy dlaczego, ale dyrektor się zgadzał. Tam został wybrany pierwszy zarząd Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Opole. Przewodniczącym został Bogusław Bardon, a ja i Zygmunt Geleta zostaliśmy wiceprzewodniczącymi.

– Solidarność miała w Polsce w szczytowym okresie 10 mln członków. Czy na Opolszczyźnie także była to organizacja masowa?

– To była lawina, myśmy nie nadążali zapisywać. Pierwszym naszym zadaniem było jeżdżenie po zakładach pracy i pomaganie w tworzeniu związków, dyrektor wtedy już nie miał nic do gadania, oni jeszcze z przyzwyczajenia, wrzeszczeli, krzyczeli, gonili nas, ale nie mogli nic zrobić. Do wyborów władz regionu musieliśmy zrobić dokładne sprawozdanie z działalności MKZ-tu, od jego początku do 15 czerwca 1981 r. „17 września 1980 r. trzyosobowa delegacja dokonała aktu rejestracji MKZ w Gdańsku.” I dalej: „Przewodniczący Bogusław Bardon, zastępcy Zygmunt Geleta, Roman Kirstein, sekretarz Ryszard Pawluskiewicz, skarbnik Janina Kurowska, oraz członkowie: Jan Głowiński, Zbigniew Ogrodnik, Andrzej Nowak, Ryszard Hawryszczuk i Grzegorz Zambrzuski”. Pierwszą siedzibą było pomieszczenie przy ul. Ozimskiej tam gdzie teraz jest Skwer Solidarności. Budynek należał do Kolumny Sanitarnej, której dyrektor nam użyczył pomieszczenia. Mieliśmy tam jeden pokój, później drugi dostaliśmy a ręczna drukarka stała w ubikacji. 15 czerwca było zarejestrowanych 694 komisji zakładowych. Największy wzrost liczbowy zanotowano w październiku 1980 r. 30 września 1980 r. liczba członków wynosiła 2320, ale już ostatniego października 75 740, a ostatniego listopada 121 573, stan na 15 czerwca 1981 r. MKZ Opole wynosił 160 000 członków. Byliśmy niemalym MKZ-tem, obejmowaliśmy dużą część województwa bez rejonów Kędzierzyna-Koźla i Nysy, które miały swoje MKZ-ty. Tak wyglądała szybkość z jaką powstawał związek.

– Jakie były wasze najważniejsze działania? Z czego się utrzymywaliście? Zwolnił się pan z pracy?

– Ja zostawiłem pracę i poszedłem do „Solidarności”, oczywiście były naciski związku na mojego pracodawcę, żeby mnie nie zwalniał, ale początkowo pieniędzy nie miałem znikąd, tylko jak ktoś mi dał prywatnie. Już po miesiącu czy dwóch zaczęliśmy dostawać średnią pensję z pracy, ale na początku nikt nie wiedział z czego się mamy utrzymywać. Ja miałem wtedy dwójkę dzieci więc nie było to łatwe czasy. Zaczynaliśmy w tych brudnych, czarnych pomieszczeniach przy rogu Ozimskiej i Katowickiej, z telefonem grzeszczociowym u strażaków w sąsiednim pokoju.

Było coraz ciśniej, mieliśmy już 80 tys. członków, więc poszliśmy do wojewody z prośbą o większe pomieszczenia. Zgodził się dać lokal, obiecał też samochód, umówił się, że jakieś porozumienie musimy napisać. Przyszliśmy z tym porozumieniem, on mówi, że da nam czego chcemy, ale w tym porozumieniu musi być napisane o przewodniej roli partii. Sytuacja była taka, że wyznaczył nam pokój, żebyśmy usiedli nara-



Foto: B. Bezeg

Roman Kirstein w swoim domu w opolskim przedmieściu.

dzili się i poprawili to pismo, zapewnił nas, że jak wyjdziemy to już dostaniemy co obiecał. Poszło nas tam pięciu i większość była za tym, żeby wpisać. Ja partyjny i taki pan Jarmark z elektrowni sprzeciwili się temu wpisać. No ale było trzech na dwóch. Powiedziałem, że idę do toalety, wyszedłem z pokoju, poszedłem do wojewody i powiedziałem mu, że nie dopiszemy tego do tekstu porozumienia. Wojewoda trzasnął drzwiami i poszedł. Ale nie wpisaliśmy. Nigdy dotąd tego nie chciałem ujawniać, mówię to panu pierwszemu.

Zostawili nas w tym pokoju i koledzy zaczęli na mnie strasznie najeżdżać: „aleś zawałił sprawę!” Poczuję się, że faktycznie zawałem, pomyślałem, że może nic by się nie stało gdyby to dopisać, bo i tak partia jest u władzy... No i siedząc kiedyś z moim kolegą i sąsiadem panem Żurawiem postanowiliśmy, że zajmijemy lokal w Domu Związków Zawodowych przy ul. Reymonta. Ustaliliśmy, że zrobimy to z panami Galetą i Głowińskim. Rozpocząłem szczegółowe przygotowania, wymierzyłem krokami czas dojścia, rozpisalem sobie skąd kto nadejdzie. W listopadzie miałem już wszystko przygotowane, pewnego dnia rano przyszedłem do MKZ-tu i mówię „Bogdan zostajesz tutaj, ja załatwiam lokal”. Miałem wyliczone, że za 7 czy 8 minut dojdziemy tam dwoma drogami, żeby nie wzbudzać sensacji na ulicy. Mówię „jak my dojdziemy to zajmujemy tam salę konferencyjną, a ty dzwoniś po zakładach pracy, żeby ludzie tam przychodzili grupkami i będziemy okupować lokal, aż nam go przydzielą”. Powiedziałem kolegom: „słuchajcie, nie wiem ile tam będziemy siedzieć, dzień czy dwa, wchodzimy i siedzimy do zwycięstwa”. Wychodzimy, pan Głowiński mówi: „muszę iść po wiadomości zoną”. Jego żona pracowała trochę wyżej na Ozimskiej w zakładach samochodowych. „No dobra biegnij, masz 10 minut”. Poszliśmy uprzedzić Bogdana, że o 10 minut przesuwa my akcję i ruszyliśmy.

Przychodzimy pod Dom Związków Zawodowych, a tu drzwi zabarykadowane, okna pozamykane. Z góry patrzą na nas i wołają „aaa, nie wejdziecie”. Dowiedzieli się. Jak się później okazało

Przebiecień – szef branżowych związków zawodowych zdążył polecić do wojewody. No to co teraz robić? Ja mówię: „Ja się nie wycofuję. Geleta wstrzymuj wszystkie autobusy, na Reymonta i na 1 maja!” Po 10 minutach tak zawałiliśmy ulice, że zrobiły się korki w całym mieście i wojewoda z Przebieciemieniem przyjechali i nas wpuszcili. Podzwoniliśmy po komisjach zakładowych, żeby ludzie poprzychodzili, zebrało się kilka osób. Wojewoda powiedział, że musi się przygotować i przyjdzie za 2-3 godziny. Siedząc tam wysunęliśmy też postulat zwolnienia dyrektora z Weluru Kietrz. Po jakimś czasie przyszedł wojewoda, ustaliliśmy, że faktycznie ten dyrektor odejście, zadzwonił przy nas do zjednoczenia i ustalił, że ma odejść. Ustaliliśmy też, że dostaniemy pomieszczenia, chyba ze 13 pokoi. Na początek cztery czy pięć, a reszta musi być opróżniona. Zdawali sobie sprawę, że oni nam te pomieszczenia „odpowiednio przygotują”. Zaraz na drugi dzień się tam wprowadziliśmy i coraz bardziej rozszerzaliśmy działalność.

Ale wracając do wątku tego ostrzeżenia o naszej akcji. Jak składałem wniosek do IPN-u, żeby się dowiedzieć kto na mnie donosił, okazało się, że niestety głównym donositelom był pan Głowiński. Nigdzie jednak nie znalazłem informacji jakoby on spowodował, że Przebiecień zabarykadował Dom Związków. Ale z tych dokumentów wynika, że on dopiero z SB się zaczął kontaktować miesiąc później. Ale jak opowiadałem komuś tę historię, to mówiłem, że to Głowiński próbował nam przeszkodzić, no i niestety za to musiałbym go przeprosić. Jak się niedawno pan Bereszyński dokopał do akt, to okazało się, że zrobił to pan Bogdan Bardon.

– Czy to oznacza, że pan Bardon współpracował z SB?

– Absolutnie nie! Broń Boże niech pan czegoś takiego nie pisze! Z dokumentów wynika, że on zadzwonił nie do SB, ale do pana Przebiecieńa i uprzedził go o naszych zamiarach. Prawdopodobnie bał się nieprzewidywalnych konsekwencji takiej akcji, chciał zapobiec jakimś rękoczynom, może też był trochę zazdrosny, że coś się dzieje obok niego.

W międzyczasie dzwoniłem do pana Wałęsy, który na mnie nawrzeszczał,

bo miał być spokój w tym czasie. No ale albo jego spokój, albo mój, bo ja nie miałem spokoju. Staraliśmy się także o ten samochód i w końcu dostaliśmy tę wolę. Tym bardziej, że zdarzyło się podobno gdy pan Bardon wyjeżdżał pociągami do Szczecina, choć nie było żadnego potwierdzenia tej historii, to później opowiadał, że został napadnięty, że go uśpili i ukradli mu dokumenty. Potem było gadanie, że to moja wina, bo samochodu nie było a wszyscy inni jeździli samochodami. Byłem więc na tyle zdesperowany, że naciskałem i w końcu dostaliśmy także samochód. Tak się zaczęła nasza działalność przy ul. Rey-monta.

W październiku mieliśmy rejestrację. „Solidarność” była rejestrowana dwa razy. Siedzimy wszyscy na sali sądowej, a sędzia Kościelniak przy dziennikarzach i kamerach czyta: „została zarejestrowana Solidarność”, a my wszyscy w krzyk „Hurra!” a on czyta dalej: „po wprowadzeniu do statutu poprawki o przewodniej roli partii”. Wtedy wszyscy już oklapli. Wtedy zaczęły się akcje protestacyjne. Był także incydent opolski. Protest o te poprawki do statutu składał pan Chrzanowski i chyba Wielowiejski, a z Opola za namową chyba pana Bardona, pan Fułat złożył osob-

Wojewódzki na Ozimskiej, tzw. „biały dom”, więc wszyscy przychodzili do nas. Mieliśmy z tą interwencją masę, masę roboty. Robili to nam oprócz ludzi także i esbecy. Był taki słynny artykuł „Mafiozo” i nawet w związku z tym sprawę miał Głowiński. Podrzucono nam, jak się później okazało zrobiła to Służba Bezpieczeństwa, prawdziwe materiały na ludzi z partii. Oni walczyli między sobą naszymi rękami. W tych materiałach większość informacji była prawdziwa, ale część sfabrykowana, żeby to za bardzo partyjnym nie podpadło. Sprawdzanie tych informacji zajęło nam bardzo dużo czasu. Sprawy interwencyjne zajmowały nam połowę czasu działalności związkowej. Czuliśmy się potrzebni ludziom, ale spraw związkowych załatwiali się wtedy znacznie mniej, a tu już ludzie zaczęli wymagać. Zaczęły powstawać sekcje branżowe, bo już trochę nas odciażyło, bo ludzie załatwiali w sekcjach swoje branżowe sprawy.

W tym czasie powychodziło kilka niemiłych spraw, w których uczestniczył pan Bardon. O tym telefonie do Przebicienia wtedy nie wiedzieliśmy, ale pojawiały się różne wątpliwości i dziwne sytuacje, jak to zamieszanie z rejestracją związku. Zakłady pracy zwoływały wte-

– **SB próbowało w ten sposób skłócać związek?**

– Ależ oczywiście. W grudniu do współpracy z nimi wszedł Głowiński, więc o wszystkim co robiliśmy wiedzieli od razu. Byliśmy trochę naiwnymi ludźmi, bez organizacji. Kręcili nami na ile się dało. Oczywiście, że to ich trochę przerosło. Oni nie byli znowu aż tacy mądrzy, tylko wykonywali to co im ktoś zalecił, odpowiedział. Ale podpuszczali nas jednych na drugich, skłócili... MKZ-ty się powiększały, żeby obsłużyć 160 tys. ludzi to już trzeba było zbudować pewną instytucję. Budowało się to dość trudno, czasy były niepewne. Nie dużo było takich wariatów jak Bogdan i ja, którzy rezygnowali z wszystkiego i przychodzili do pracy związkowej. Ludzie patrzyli na to w ten sposób, że dzisiaj jesteście, jutro nas nie ma, bo przecież wszystko wrzało. Bardzo mało dawali działacze do pracy. Zatrudnialiśmy ludzi do prac biurowych, ale do prac związkowych potrzebni byli działacze. Byli to nie zawsze ludzie najwyższego kalibru z zakładów pracy, które chciały mieć dobrych ludzi u siebie. Pracowało nam się bardzo trudno. Intelktualnie byliśmy słabi. Nie pomagało nam tu ani WSP, bo tam też pracowali odpowiedni ludzie, którzy kształcili kadry, które były po przeciwniej stronie. WSI również nas nie wspierało. Oczywiście były jednostki, jak pan Heffner, czy pan Matlachowski. Były jednostki, z którymi się pracowało, ale żeby wypracować jakiś program stricte dotyczący naszego województwa, nigdy nikt się nie potrudził. Raczej w większości patrzyliśmy na posunięcia krajowe i dostosowywaliśmy do nich. Pod koniec działania MKZ-tu ja jednak sądziłem, że należy zmienić jego skład. Później już obstawiałem się ludźmi z Instytutu Śląskiego, jak pan Stanisław Jałowiecki, czy pan Andrzej Pasierbiński, z którym miałem sporo kłopotów, bo on był partyjny, ale ile on zdziałał dla MKZ-tu! On wystąpił przeciwko działaniom przeciwko nam Komitetu Miejskiego PZPR, ale w związku był potępiany za przynależność do partii. W wyborach do nowych władz, ja w ogóle nie startowałem, ale zaproponowałem pana Jałowieckiego. Z byłych członków MKZ-tu m.in. Bogdan poddał się weryfikacji w głosowaniu i dostał najmniejszą ilość głosów z pięciu kandydatów.

– **To było w czerwcu 1981 r.?**

– Nie znacznie później. Wynikło to z mojego dążenia do połączenia MKZ-tów w Region. Po części to się udało, bo dołączyły do nas Kluczbork i Pрудnik, miał dołączyć Kędzierzyn. Tych zjazdów było mnóstwo. Kiedy doszło do ostatniego w początkach sierpnia 1981 r., kiedy Jałowiecki został wybrany przewodniczącym to i tak Nysa się wykręciła. Janusz Sanocki był nie do przebiccia.

Wtedy zaczęliśmy inny etap pracy. Wybory były demokratyczne, był I Zjazd „Solidarności”, zostałem delegatem na I Zjazd. Działanie było już trochę inne, bo i sytuacja w kraju była inna i zadania przed związkiem były inne, których obawiałem się podjąć.

– **Jakie to były zadania?**

– Wtedy już bardziej niż o działalność związkową chodziło o walkę o niepodległość.

– **To I Zjazd wyznaczył takie zadania?**

– Niekoniecznie. Już pod koniec mojej działalności patrzyłem na coraz ostrzejsze starcia z władzą, widać było, że związek zawodowy nie ma nic do powiedzenia, że co chce załatwić to i tak nie załatwi. To powodowało, że zaczęliśmy z tym walczyć w sposób taki,



Zarząd MKZ Opole składa kwiaty ku czci ofiar Katynia pod pomnikiem Bojowników o Wolność Śląska Opolskiego.

ny wniosek i wiele nie brakowało, żeby Opole zostało wyłączone z ogólnopolskiej „Solidarności”. 10 października na rejestracji sędzia czyta, że oba wnioski zostaną osobno rozpatrzone. Znowu Wałęsa naskoczył na mnie, co ja tu wypieram, ale to udało się szybko odwołać. No i została wtedy 11 października zarejestrowana „Solidarność”, od tego momentu byliśmy związkiem legalnym, mogliśmy ustalać place, ściągając składki, wtedy związek działał już normalnie.

W cytowanym już sprawozdaniu napisaliśmy: „Wyraźnie wykształciły się zwłaszcza dwie sekcje: informacyjna i interwencyjna”. Pierwszą kierował pan Galeta, zajmowała się ona głównie pomocą i udzielaniem wszelkich porad dotyczących zakładania „Solidarności”, a druga była to sekcja interwencji. Tam m.in. byli panowie Głowiński, Jarmark i Piotrowski. Ludzie byli przyzwyczajeni, że na wszystko musieli się gdzieś skarżyć. Wiarę utracił Komitet

dy pierwszy zjazd regionalny, który odbył się na początku grudnia w sali NOT. Tam delegaci wymusili na Bogdanie Bardonie, żeby złożył rezygnację, on złożył ją chyba 23 grudnia. Odbyły się nie-demokratyczne wybory w gronie obecnych przedstawicieli zakładów, w których ja zostałem wybrany przewodniczącym, Głowiński został wiceprzewodniczącym, a pan Geleta też odszedł. Zaczęliśmy pracę w innym składzie. Na całym południu ci początkowi działacze Solidarności: we Wrocławiu Piórkowski, u nas Boguś, w Jastrzębiu Sienkiewicz, u nas Boguś, w Krakowie Zawada, wszyscy po paru miesiącach odeszli. Była tendencja tworzenia federacji, a głównym przywódcą tej frakcji był Sienkiewicz. Jak się później okazało był on współpracownikiem SB. On nakręcał te federacyjne nastroje i to zrobiło na południu Polski dużo fermentu. Kiedy w końcu zarejestrowaliśmy związek to ucichło, ale ci ludzie odeszli.

jaki oni stosowali. Trzeba było zacząć odpowiadać siłą. Zjazd również to podyktował. Od sierpnia 1981 r. stało się jasne, widać to było gołym okiem, że w tym ustroju nic się nie da zrobić. Tego nie da się zreformować. Bojąc się utraty władzy partia próbowała różnych sztuczek.

– **Nie sądzi pan, że to dążenie do konfrontacji było inspirowane przez SB?**

– Oczywiście! Jasne, że tą główną siłą dążącą do konfrontacji chyba było SB, ale jak wynikało choćby z tej historii podsunięcia nam materiałów na temat partyjnego „mafiozo” widać było, że SB chce przejąć władzę odbierając ją panom z partii. Ale przy władzy byli jednak partyjni, wobec tego bezpośrednie rozmowy były z partią. Byłem uczestnikiem chyba dwóch czy trzech rozmów w ministerstwach pracy i z panem Rakowskim. Wszystko kończyło się stwierdzeniem: „dobrze, możemy tak zrobić, ale co powie związek radziecki? Popatrzcie co tu napisano w „Prawdzie”, że w Polsce dojdzie do konfrontacji.” Doszliśmy do wniosku, że nie można z nimi rozmawiać, bo to i tak nic nie da.

– **To byli plenipotenci ZSRR, a nie włodarze?**

– Tak, zresztą oni tego specjalnie nie ukrywali. Taka ciekawostka: byliśmy na rozmowach z Rakowskim. Nie dość, że wulgarnie rozmawiał, to jeszcze przekazywał nam takie informacje o Rosji, że wszyscy to po kryjomu nagrywaliśmy. Mówiliśmy sobie: „jak my to puścimy, to to naród ruszy, dojdzie do czegoś”. Wyszliśmy z urzędu, włączamy magnetofony, cholera wszystkie taśmy czyste! Przepuścili nas tam przez jakieś pole magnetyczne i wszystko zostało dokładnie skasowane. Trzeba było to odtworzyć własnymi słowami, ale to już nie było to samo.

Sprawa żywności, której brak już strasznie ludziom dokuczał. Normalnych ludzi polityka nie bardzo interesowała, ich interesowało czy mają czym dzieci nakarmić, czy nie mają. W związku z tym zaczęły się pretensje do nas, że nie potrafimy wymusić na władzach zbrojenia z tym porządku. Zawsze to było w związku mówione, że nigdy nie powinno dojść do konfrontacji siłowej, że nie powinniśmy występować z armatami, karabinami, zdobywać czołgów i tym podobnych historii. Miało się to odbywać inaczej, co zresztą się udało, ale jednostronnie, bo to oni wystąpili przeciwko nam z czołgami. Ludzie w związku wiedzieli dokładnie co będzie można zrobić, a czego zrobić się nie da. Robiliśmy różnego rodzaju spisy ludności, kontrole w zakładach mięsnych, to nic nie dawało. Jak przyjeżdżaliśmy na kontrolę do naszych Zakładów Mięsnych, to tam akurat zwierząt nie zabijali, nic tam nie było, pokazywali nam, że ściągnęli półtusze z Chin. Jedna miała 1,5 m, druga 50 cm, dyrektor powiedział nam, że dostali na województwo tyle, że na mieszkańca wypada niecałe 5 kg mięsa. To była tragedia.

– **Ale te braki żywności przecież były reżyserowane?**

– Ależ oczywiście! Dlatego chodziliśmy po tych zakładach, ale to nie wiele dawało. 10 i 11 grudnia 1981 r. pomogąłem panu Ciupce prowadzić strajk w Zdzie-szowicach. Żeby był oddźwięk na kraj zabroniliśmy wysyłać koks do Huty Katowice. No to nie szło do Huty Katowice, kolejarzy się zgodzili tego dopilnować. Okazało się, że przerzucili nasz koks przez NRD i Czechy do Huty Katowice ale już innymi wagonami. My nie potrafiliśmy nad tym zapanować, okazało się, że państwo miało swoje sposo-

by. Lekceważyli nas już wtedy, 11 grudnia przyszedł z nami rozmawiać wojskowy.

– **Czy to znaczy, że stan wojenny zastał pana w Zdzie-szowicach?**

– Nie, wróciłem na noc do domu. Pamiętam gdzieś koło 10 grudnia mieliśmy spotkanie z posłanką panią Do-

puszczaliśmy, że może go jakoś pode-szli czy co, ale niestety on już się wtedy zaprzedał. Było ciężko pracować kiedy każdy nasz krok był znany esbekom.

Pewnego dnia mieliśmy taką sytuację: Głowiński z Piotrowskim przynieśli radio do MKZ-tu, które miało częstotliwość nastawioną na łączność SB. Wo-



Od lewej: Roman Kirstein i Stanisław Jałowiecki w 1981 r.

rotą Simonides, która jako jedyna się przyznawała, że nie jest wybrana tylko mianowana posłem. Mówiliśmy o stanie wojennym i ona powiedziała: „To jest niemożliwe! Możliwe jest wprowadzenie stanu wyjątkowego.” Wieczorem 12 grudnia siedziałem u kolegi i właśnie omawialiśmy to spotkanie, kiedy SB nas zamknęło.

– **Domyślaliście się, że będzie stan wyjątkowy?**

– Tak, wyraźnie widać było, że coś się będzie działo. Dwa dni przedtem esbecy zaczęli za nami chodzić. Śmiało się z tego, że dzięki ich towarzystwu jesteście bezpieczni. Siedziałem w domu to co 2 minuty jeden jeździł windą i patrzył czy nie wychodzę. Wyszedłem, to szedł za mną. Ja do autobusu i on do autobusu. Specjalnie się nie ukrywali. Śmiało się z tego ale tylko do wieczora.

Myśmy już się spodziewali czegoś takiego w marcu, kiedy był apel o 100 dni spokoju i kiedy w Bydgoszczy został pobity Rulewski. Wtedy MKZ wyprowadziłem do Prudnika. Wtedy było już tak ostro, że sądzili, że już nas pozamykają, w związku z tym było zalecenie Komisji Krajowej „S” i Wałęsy, że mamy się przenieść do dużych zakładów pracy, gdzie będzie trudniej nas wyłapać, a w każdym razie z jakimś oporem co da nam czas.

– **Przenieśliście się wtedy do Frotekusu?**

– Tak. Najpierw chciałem się przenieść do Ozimka, do huty, uzgadnialiśmy to już z Lechem Wałęsą, ale tam częściowo była produkcja kategorii „S” czyli na potrzeby wojenne, więc oni w każdej chwili mogli zmilitaryzować. W związku z tym przenieśliśmy się do Prudnika. Byliśmy tam parę dni. Pracownicy zostali w Opolu, a członkowie MKZ-tu pojechali tam. Organizował to pan Głowiński. Było wtedy takie zdanie, że jechaliśmy bocznymi drogami, w pewnym momencie patrzymy stoi Głowiński i gada z esbekami. Drogę im pokazuje jak będzie jechał dalej. Nas nie ruszyli pojechaliśmy dalej, widać jeszcze nie mieli zadania. Wtedy przy-

lają mnie: „Choć posłuchaj co jest”. No i ja słyszę, że rozmawia mój wiceprzewodniczący Geleta z esbekiem. To było krótko przed wyjazdem do Prudnika. Esbek go pyta jak będziemy zajmować stację telewizyjną, a on coś tam kręci, że to nie o to chodzi. Głowiński mnie woła, żeby mi pokazać, że Geleta gada z SB, w ten sposób chciał siebie uwiarygodnić. I uwiarygodnił. Gelety nie wziąłem z sobą do Prudnika. Ja w tym momencie byłem tak osaczony...

– **Ilu było członków zarządu i ilu z nich współpracowało z SB?**

– Grzegorz Zembrzusi, Janek Głowiński to byli członkowie pierwszego zarządu MKZ-tu – te nazwiska mam wypisane na dokumentach z IPN-u.

– **A Jałowiecki? Były jakieś wątpliwości w tej kwestii?**

– Absolutnie nie. Znam tę sprawę dokładnie, opowiadał mi o tym jeszcze zanim został przewodniczącym naszego regionu w 1981 r. Stanisław Jałowiecki będąc wykładowcą w Gliwicach jako socjolog dostał zlecenie od milicji na opis socjologiczny jakiejś ulotki młodzieżowej. W tym czasie socjologowie tylko pracowali na zlecenia milicji, SB i partii, nikt inny im nic nie zlecał. On to dla nich opracował. Jak mi powiedział spieścił się na wykłady, oni mu dali niby na taksówkę, on im podpisał pokwitowanie. Nie wiem jaka dokładnie to była suma, ale na dzisiejsze czasy to równowartość powiedzmy 100 zł. I to był jeden jedyny raz i nic innego nie ma ani u nich, ani on nie zrobił. Nikt mu nie zarzucał donosicielstwa. Sąd lustracyjny zarzucił mu kłamstwo, bo nie napisał w oświadczeniu lustracyjnym, że został zarejestrowany. Moim zdaniem Staszek Jałowiecki był ja najbardziej fair. Na tyle ile mogę znać człowieka. Mieliśmy bardzo dużo spraw, które nigdy nie wyszły. Przypisuje mu się różne historie, ale nie sądzę, żeby polegały na prawdzie.

– **Czy w czasie „festiwalu Solidarności” dużo się na Opolszczyźnie strajkowało?**

– Nie. To jest Śląsk. Geograficznie i historycznie mówi się, że to Górny

Śląsk, ale temperament opolskich Ślązaków nie ma nic wspólnego z temperamentem Górnoślązaków. Tam górnicy z Katowic czy Zabrze żyli z górnictwa, a u nas przeważnie chłoporobotnicy. Prowadziłem rejestr wszystkich przewodniczących zakładów. Mimo, że zakłady były w miejscach, gdzie dookoła było wielu Ślązaków, to przewodniczącymi Ślązacy nie byli. Jedynym wyjątkiem był w Zdzeszowicach Jurek Ciupka. Ślązacy raczej stawiali z boku. Oni za Niemca byli Polakami, za Polaki Niemcami, raczej trzymali się z dala od polityki. Każdy apel o strajki w większości wypadków kończył się oflagowaniem, protestem, ewentualnie godzinnym zatrzymaniem. Wtedy mówiło się, że Opole to zaraz po Lwowie najspokojniejsze polskie miasto.

– Jak wyglądał pański początek stanu wojennego?

– Wspominałem, że byłem wtedy u kolegi Edwarda Żurawia. Mieszkaliśmy wtedy w jednej klatce w „deskowcu” na Chabrach: kolega Gnieciak, kolega Żuraw i ja. Edek Żuraw to ten człowiek, który był ze mną i panem Bardorem w Gdańsku zarejestrować nasz MKZ. On potem wycofał się z pracy w MKZ-cie i zajął się związkiem w naszym zakładzie, a jego pierwsza żona Lucyna Żuraw pracowała u nas jako sekretarka. SB jak do nas przyjechało to w jednej klatce przyszli od razu do trzech mieszkań. Nie mieli nakazu internowania na pana Żurawia, ale na jego żonę. Rozmawialiśmy sobie przy kieliszku o tym, że nie będzie stanu wyjątkowego. Jego żona akurat wyjechała na dwa dni chyba na wycieczkę do Kudowy. Przed północą wpadają, pytają gdzie żona, ja słyszę, że chodzi o moją pracownicę więc wyszedłem i pytam o co chodzi? A oni do mnie: „A pan jak się nazywa?” ja na to „Kirstein”, a oni na to „To dobrze” coś tam poszeptali i zabrali mnie na dół. U mnie w domu już byli, powiedzieli żonie, że przywieźli dla mnie jakieś informacje z Gdańska i ona im otworzyła i powiedziała, że jestem na gorze i tam mnie ścignęli. Tam już się zaczęli zbierać ludzie, bo pana Chołodeckiego z trzeciego „deskowca” wzięli szybciej no to już jego mama przyszła nas ostrzec, jakiś pan z sie-



Foto: Archiwum Romana Kirsteina

Opolska delegacja na I Zjeździe Solidarności w gdańskiej hali Olivii.

cią pod pachą przyszedł nas bronić. Żona poszła ostrzec Gnieciaków, a tam już było SB i ją tam zatrzymali na dwie godziny, dzieciaki same z jakąś obcą kobietą siedziały w domu. Jak mnie zabierali obudziłem dzieci i postawiłem koło stołu i powiedziałem, żeby patrzyły jak polska władza postępuje z tatą. Miałem wtedy 38 lat i trójkę dzieci.

– Gdzie pan był internowany i jakie tam były warunki?

– Zaraz w nocy zawieźli mnie na przesłuchanie do pana pułkownika Nowosielskiego w komendzie wojewódzkiej. Byłem tam może godzinę, półtorej, a potem na dół do celi, gdzie zostałem do rana. Rano załadowali nas w samochód i zawieźli do aresztu na Sądowej. Porozdzielali nas wśród więźniów. Akurat mnie wsadzili do celi, gdzie za jakieś machlojki siedział mój były pracownik. On mnie rozpoznał i od razu jako więźnia politycznego spotkałem się z wielkim szacunkiem. Rano wstałem się umyć, wracam do pryczy a tu już po-

ścielone, papierosów nie miałem to dla mnie kręciło z petów. Po dwóch dniach poinformowali nas, że jesteśmy internowani i powstawiali nas do celi już osobno od więźniów. Ja siedziałem z ludźmi prawie mi nie znanymi. Rano w innych celi wychodzą na spacer, a moja celi zamknięta. Stukam, wołam, mówią „na razie nie”. Zbudowali mi pod całą klatkę z siatki i do tej klatki mnie wypuszczali i wtedy dopiero moi koledzy z celi mogli z innymi wyjść na spacer, a ja do klatki. Chodziło chyba o ograniczenie mi kontaktów z internowanymi z innych celi.

Po paru dniach wypuścili jednego pana z Kędzierzyna, więc podałem mu swój adres i on poszedł do żony opowiedzieć jej gdzie jestem. 18 grudnia przyszedł po mnie esbek i kazał mi napisać do społeczeństwa Opola, że śmierć górników w kopalni „Wujek” to przypadek, nie z winy milicji, że oni zaczęli atakować. Pomyślałem, że trzeba wykorzystać sytuację żeby się spotkać z chłopakami i mówię „dobrze, można coś napisać, ale my w związku nie działamy pojedynczo, macie tu członków zarządu, jest pan Chołodecki, macie tu innych ludzi z władz, dajcie nam wspólną celę to porozmawiamy i coś napiszemy”. Staszka nie było bo wracał w nocy z Komisji Krajowej i go nie złapali. On na to, że mam ten wniosek napisać, no to napisałem to co powiedziałem, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Po paru dniach przenieśli mnie do osobnej celi. 13 stycznia szum – zabierają wszystkich, jak się później okazało do Nysy, a mnie nie. Przyszedł esbek i pyta czy chcę wyjść na wolność, a ja na to „Pewnie, kto by nie chciał? Każdy by chciał!” On na to: „Dobrze, ale jest jeden warunek. Wie pan o tym, że związki zawodowe nie zostały rozwiązane, wobec tego pan Jaruzelski i WRON proponują odwieszenie tych związków, ale muszą być ludzie zaufani. Z Opola wytypowano pana. W poniedziałek będziemy jechali do Warszawy, a w sobotę wyjdzie pan do domu, bo musi pan się przygotować, z tym, że w sobotę i niedzielę umawiamy się, że dzwoni pan do nas o godz. 12.00.” Mówię „dobrze”. Wypuścili mnie. Przychodzę do domu, a żona w ryk, bo wiadomo było po co mnie wypuścili. Zgodnie z ich poleceniem i w sobotę, i w niedzielę zadzwoniłem od państwa Bed-



Foto: Archiwum Romana Kirsteina

Roman Kirstein w nowej siedzibie Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego w Opolu.

norzów do tych esbeków, żeby się zameldować, ale ani jednej nocy nie przespałem tylko cały czas zastanawiałem się: co dalej robić? Osaczyli mnie jak jakąś dziką zwierzynę, przecież każdy kto wyszedł od razu był podejrzany. No dobra, podjąłem decyzję – wieję. No ale teraz tak: rodzina bez pieniędzy, jak byłem internowany komisarz ścigał z zakładu jakieś pieniądze i dawał rodzinie na życie. Jak zwięję, to rodzina umrze z głodu. W poniedziałek o 7 rano idę do zakładu pracy do dyrektora i mówię: „związki są zawieszone, ja miałem urlopowanie do marca, to ja teraz chcę urlop”. Kazał mi wypisać kartę urlopową i ją podpisał. Prosto z zakładu poszedłem do zakonu jezuitów przy ul. Matejki. Tam przesiedziałem prawie miesiąc, ale zaczęli węszyć po zakonach. Na doatek misjonarz Romek Płachta powiedział wyjątkowo ostre kazanie i SB zaczęło przychodzić na plebanie. Mówią mi tam: „słuchaj musimy coś zrobić, bo robi się niebezpiecznie”. Wyszedłem z plebanii w dniu, kiedy jeden esbek umówił się tam na rozmowę i poszedłem do domu. Miałem otrzymać lokum przy ul. Książąt Opolskich. Właściciele mieszkania to byli starsi ludzie, którzy działali w grupie pana Smockiewicza, byli zaprzysiężeni i operowali hasłami. Poszedł tam mój kolega ustalić kiedy mogę przyjść, ale nie przekazałem mu hasła i dostał taką odprawę, że musiał wiać. Ja już czułem, że pali mi się pod nogami więc przez ogródki działkowe jakoś się tam przekradłem. Tam dostałem namiary na domek przy ul. Niemodlińskiej i informację, że mam czekać w domu, a za 3 godziny przyjedzie po mnie ktoś samochodem. Wracając do domu przez tory na nasypie spotkałem kolegę, nikt inny nie mógł mnie widzieć. Musiał donieść, bo ledwo wszedłem do domu, a tu stukają esbecy – złapali mnie.

Najpierw chcieli mi zrobić proces, doszukiwali się jakichś haków, ale nic nie mogli znaleźć, a do czegoś takiego nawet w komunie cokolwiek musieli mieć. A ja w tym czasie naprawdę niewiele działałem, zatem nie bardzo mogli mi udowodnić jakiegokolwiek działania przeciwko dekretoowi o stanie wojennym. Prokurator próbował mi postawić jakieś zarzuty, ale w końcu umorzył sprawę, w związku z tym ponownie mnie internowali, ale powiedzieli, że teraz już żadnych rozmów ze mną nie będzie do końca wojny i najgorsze internaty. Najpierw mnie wysłali do Strzelec Opolskich, dokąd opolan wysyłali za karę, internowani to głównie tam z Katowic byli. Tam było strasznie, musieliśmy chodzić w ciuchach zakładu karnego, wpuszczali nas tylko do bokosów na spacer, dookoła nas z psami chodzili. W końcu podjęliśmy głodówkę, która trwała siedem dni, żądając sprowadzenia do więzienia Czerwonego Krzyża. Pod koniec lutego 1981 r. przyjechał do nas ksiądz biskup Adamiak i jego poprosiliśmy, żeby ścignął Czerwony Krzyż. Jak w końcu miał przyjechać Czerwony Krzyż to nas zaczęli rozwozić. Esbecji to nawet tam nie widziałem, ja miałem od nich spokój całkowity, ale tyłem z Katowic to nawet katowali, nieraz wracali z przesłuchań pobici.

Stamtąd 8 marca przenieśli mnie do najcięższego miejsca internowania do byłego obozu koncentracyjnego Gros Rosen w Kamiennej Górze. Więźniowie tam mieli oddziały półwolnościowe, a my internowani siedzieliśmy w poniemieckim karcerze, gdzie esesmani trzymali więźniów, którzy padli. Ale w stosunku do Strzelec było lepiej, bo na dzień nam otwierali cele.

Natomiast warunki tam były straszne, nie zmienione od drugiej wojny, prześladowały nas wilgoć, zimno i mróz. Na Wielkanoc przewieźli nas do Głogowa, nie informując rodziny. Żona pojechała na odwiedzin do Kamiennej Góry a mnie tam nie było. W Głogowie to już był tylko internet, cele były otwarte cały czas, siedziała tam internatowa elita więc czuliśmy się tam lepiej niż na wolności. Tam uczyliśmy się języków, mieliśmy spotkania, jakieś wszechnice, bo siedzieli z nami różni wykładowcy i profesorowie. Ale tam dopadła mnie choroba i pod koniec maja musiałem wyjechać do szpitala. Do początku lipca byłem w szpitalu więziennym we Wrocławiu, a że stan mi się pogarszał to mnie w końcu zwolnili. Byli tak na mnie wściekli, że choć formalnie zwolnili mnie 1 lipca, to wypuścili mnie dopiero trzeciego.

– Jak wyglądał powrót do normalnego życia?

– Wychodząc z internowania dostałem tzw. „wilczy bilet” i na Opolszczyźnie do pracy nie mieli prawa mnie przyjąć. Żyliśmy z niepracującą żoną i trójką dzieci tylko z pomocy Kościoła. Chciałem już wyjeżdżać za granicę. Miałem załatwiony już paszport w jedną stronę, nawet dostałem pismo ponaglające

Jurek Gneciak wywiozł ostatnią gilotynę. Korzystaliśmy wtedy ze znajomości z różnymi partyjnymi dyrektorami, jeden z nich co nam blachę sprzedał, mało nie umarł ze strachu jak esbecja do niego wpadła. Nasza praca wyglądała w ten sposób, że rano żeśmy przyjeżdżali moim maluchem, drogówka czekała już na nas w Kępie, odprowadzała nas do gospodarstwa. O godz. 10.00 przychodził esbek, siadał na spawarce i siedział, gadał, żartował. Siedział tak parę godzin i jak tylko ktoś przychodził to on się przedstawiał i kazał się wylegitymować. Nic tym ludziom nie robili, ale przestali do nas w ogóle ludzi przychodzić, bo kto w tamtych czasach chciałby być legitymowany przez wszechwładne SB? Zaczęliśmy pracę w 1984 i tak nas męczyli do 1987 r. Uratował nas Jurek Gneciak, który miał kurnik i dawał nam tam różne prace do wykonania no i Morawiecki, któremu później robiliśmy prasę hydrauliczną do ulotek. Esbek siedział przy tej prasie i się nie domyślił co to jest, tak żeśmy to montowali, że to mogło być wszystko.

Jak już ludzie zaczęli wyjeżdżać taki kolega Rysiek Hińczuk sprzedał domek, część za dolary, część za złotówki, ale ktoś go podkapował i zabrali mu wię-



Opolska delegacja na I Zjeździe „S” w Gdańsku, pierwszy z prawej siedzi Roman Kirstein.

mnie do emigracji, ale wtedy dr Mazur załatwił mi na pół roku rentę. Naprawdę nie było na chleb. Później dziecko daliśmy do przedszkola i żona zaczęła pracować. W końcu zaczęliśmy z Edkiem Żurawiem robić coś prywatnie. Założyliśmy warsztat, bo ja ślusarz tokarz, a on inżynier mechanik, ale nikt nam nie chciał nic zlecać, bo gdzie przyszliśmy to za nami przychodziło SB. Z tego samego powodu nikt nie chciał nam wynająć pomieszczenia na warsztat. W końcu mąż byłej żony Edka, który przyjechał z Ameryki, a żona inżynier rolnik, więc kupił gospodarstwo w Kępie, żeby hodować świnię i dał nam tam jedno pomieszczenie.

Przyszedł nam z pomocą Kornel Morawiecki, z którym współzałożycielem Solidarności Walczącej był Jurek Gneciak. Zamówili u nas gilotynę do obcinania papieru. Robiliśmy je konspiracyjnie zlegając po różnych zakładach poszczególnych elementy i montując je po kryjomu w domu. SB się dowiedziało i wpadli do nas tuż po tym jak

szosć tych dolarów, bo ich posiadanie było zabronione, a złotówek nie miał po co zabierać więc nam je dał. Wtedy z Antkiem Klusikiem otworzyliśmy bank. Kupiliśmy kombajn, ale nie tutaj, bo by go nam zaraz zabrali. Po internowaniu, kiedy nie mieliśmy pieniędzy, Kuria Biskupia organizowała dla nas wczasy u rolników, no i nam przypadł rolnik w Borach Tucholskich i tak się z nim zaprzyjaźniliśmy, że do niego kupiliśmy ten kombajn. U niego ten kombajn pracował za darmo, ale wszędzie indziej za pieniądze, więc było na remont kombajnu i na działalność związkową oraz na pożyczanie ludziom, którzy mogli tworzyć sobie zakłady pracy. Niestety musieliśmy tego zaprzestać, bo inflacja tak zżerała te pieniądze, że coś straszno. A w końcu trzeba było Ryśkowi te pieniądze oddać, w 1989 r. w końcu sprzedaliśmy ten kombajn to ledwo starczyło na oddanie mu pieniędzy bez żadnych odsetek. Takie to były czasy.

Pytał Bolesław BEZEG

NAJWYTRWALSZY KOMITET ZAKŁADOWY „S”

Podtrzymywanie nadziei

Mój pierwszy dzień stanu wojennego zaczął się pobudką w niedzielę o 6 rano, telefoniczną na szczęście. Nie było ze mną tak źle jak z innymi kolegami, których budzili funkcjonariusze. Mnie obudziła żona funkcjonariusza, koleżanka z pracy. Powiedziała, abym jak najszybciej wyszedł z domu, bo mogą po mnie przyjść.

Nie za bardzo chciałem wierzyć, ale kazała włączyć telewizor i obejrzałem kawałek znanego przemówienia. Nie czekałem do końca. Wyszedłem czym prędzej. Faktycznie działo się coś złego. Tak się złożyło, że w sobotę żona z synem wyjechała w odwiedziny do koleżanki. Miała wrócić dopiero późnym popołudniem w niedzielę, więc nie wiem czy faktycznie miałem tego dnia jakichś gości. Chyba jednak mnie zlekceważyli, skoro i w następnych dniach nie wyładowałem w „internacie”.

Spacerowanie w mroźny dzień po mieście bez żadnego planu nie było przyjemne. Na szczęście była to niedziela i w kościołach można się było ogrzać, a w ich okolicy trochę dowiedzieć o tym co właściwie się dzieje. Jak trwoga to do Boga – praktycznie sprawdziłem w tym dniu wielką mądrość tego przysłowia. Inna mądrość jaką poznałem to ta, że ścigane zwierzę musi szybko się uczyć. Wszak, w kilka chwil moje pocucie misji „wybrańca narodu” (przewodniczący Komisji Koordynacyjnej Bankowców Opolszczyzny – tak dumnie brzmiała nazwa mojej funkcji w związku) zastąpiło uczucie bycia ściganym zwierzęciem.

NOCLEG U WROGA

Ze spotkanymi kolegami dyskutowaliśmy co dalej robić i jak nie dać się złapać. Trafiliśmy w końcu do mieszkanka koleżanki, która mnie o świecie zaalarmowała. Tu przekonałem się, że bywają i przyjaźni nam funkcjonariusze. Gospodarz – nazwijmy go R. opowiadał, że przesłuchiwanie „internistów” przyozdobili drzwi pokoju jego kolegi naklejką reklamującą NSZZ „Solidarność”. Wyobrażam sobie jak poprawiało to nastrój jego kolejnych „klientów”. Na koniec padła pod naszym adresem, moim i kolegi, propozycja noclegu. Kolega zaryzykował powrót do domu, a ja zaryzykowałem pierwszą noc tej wojny spędzić w mieszkaniu formalnego wroga. Dziś chyba trudno zrozumieć jak bardzo dziwne to były czasy. Obecnie bym już tak nie zaryzykował.

Miałem się jeszcze później wiele razy przekonać jakie faktycznie były jego sympatie. W wielu sytuacjach pomagał rodzinom internowanych. Także i nam R. doradzał w wielu większych i mniejszych sprawach. Na przykład gdy byliśmy nękani kolejnymi wezwaniami na przesłuchania w SB, świetnie zadziałała jego rada jak skutecznie odbijać propozycje współpracy z tą instytucją. Należało się powiedzieć, że „na podjęcie współpracy z SB nie pozwalają mi przekonania religijne”. Widać mieli jakieś instrukcje w tej sprawie, bo gdy po pierwszej ich propozycji współpracy użyłem tego argumentu, więcej mi tego nie proponowano. Inny przykład jego działań, to załatwienie pracy dla pozostającej bez środków do życia matki jednego z internowanych.

JAK UMARŁ R.?

Nie będę tu jednak zdradzał zbyt wielu szczegółów, bo wdowa po owym funkcjonariuszu nie chce rozgłosu. Wdowa, bo któregoś dnia, R. strzelił do siebie ze służbowej broni. W godzinach pracy, w swoim pokoju w komendzie milicji. Taką informację przekazano rodzinie. Trudno nam było zrozumieć motyw. Trudno było się z tym pogodzić. Niektórzy, nie chcieli wierzyć w oficjalną wersję wydarzeń, zwłaszcza, że były przesłanki by uważać, że szefowie R. dowiedzieli się o jego sympatii dla nas i innych „Solidarnościowców”. Czasem zapalałem świeczkę na jego grobie.

Co jeszcze można powiedzieć o tych dziwnych czasach? Nic specjalnie ciekawego się nie działo. Staraliśmy się jakoś przetrwać, nie dać się złapać i nie dać się złamać. Każdy dbał o to aby nie wiedzieć zbyt wiele o tym co robią inni, by w razie przesłuchania się nie wygadać. Zaraz na początku „wojny jaruzelskiej” ktoś, pewnie jakiś TW, powiesił na naszej związkowej tablicy idiotyczną ulotkę informującą o tym, że pomimo stanu wojennego nie internowano Gierka i jego kolegów. Jak wiadomo ta informacja była nieprawdziwa, jednak nie chodziło o treść, użyto tego zdarzenia jako pretekstu do umotywowania cyklu przesłuchań kilku pracowników NBP i członków Komisji Zakładowej „Solidarności”. W kontaktach ze służbami staraliśmy się stosować zasadę na której ponoć oparł się twórca judo: „Ugiąć się, aby się nie złamać.” Stosowaliśmy też zasadę, że każdy przesłuchiwany po wizycie w Komendzie Milicji opowiadał o tym o co pytano i co odpowiedział, tak aby nasze zeznania były zgodne. Czasem odbywały się zebrań w sporym gronie, tak aby każdy pracownik był dobrze przygotowany do ewentualnych spotkań z panami porucznikami z SB. Podpisywanie oświadczeń o zaprzestaniu działalności związkowej czy zachowaniu w tajemnicy treści rozmowy traktowaliśmy jako nie nie znaczące, z uwagi na to, że były podpisywane pod groźbą aresztowania, czy internowania, a więc z mocy prawa nieważne.

NAJTRWALSZA KZ „S”

Szefem mojej macierzystej Zakładowej Komisji był mój przełożony Janusz Karpala. Zapewne mógłby więcej opowiedzieć o tym co się wtedy działo. Ja pamiętam, że wiele wysiłku wkładaliśmy w sygnalizowanie społeczeństwu, że duch w narodzie nie upadł. Były ulotki, napisy na murach, każda „bibułę” jaka wpadła nam w ręce staraliśmy się możliwie szeroko rozkolportować. Także wykorzystując „przedwojenne” kontakty z innymi bankami i oddziałami NBP. Prowadziliśmy też zbiórki pienię-



Jacek Bezeg był w 1981 r. był w „Solidarności” przewodniczącym Komisji Koordynacyjnej Bankowców Opolszczyzny.

dzy na wsparcie rodzin internowanych i ukrywających się działaczy „Solidarności”. W ich przekazywaniu potrzebującym bardzo pomocni byli księża. Sporadycznie pomagaliśmy w transporcie „trefnych” urządzeń, jak maszyny do pisania, czy materiałów takich jak papier. Zbieranie składek członkowskich i wypłacanie z nich statutowych zasiłków, na przykład z okazji urodzenia dziecka, trudno uznać za jakiś specjalny wyczyn. Podtrzymywało to jednak w ludziach wiarę w to, że trwamy i przetrwamy do lepszych czasów. Podobnie jak spotkania na których omawialiśmy sytuację w kraju i działania władz.

W roku 2005, w trakcie przygotowań do jubileuszu 25-lecia powstania Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” ktoś wykrył, że my – Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” przy Wojewódzkim Ośrodku Obliczeniowym Narodowego Banku Polskiego w Opolu, byliśmy najdłuższą działającą Komisją Zakładową na terenie województwa opolskiego. Było z tego powodu trochę szumu, ale na szczęście szybko ucichło. Przecież robiliśmy tylko, to co uważaliśmy, że trzeba było robić.

Jacek BEZEG

STAN WOJENNY W BRANICACH

Wg instrukcji Regionu

Wprowadzenie stanu wojennego w Branicach odbyło się nad ranem 13 grudnia 1981 roku w ten sposób, że ekipa przybyłych z Głubczyc funkcjonariuszy SB w towarzystwie miejscowego milicjanta Homeniuka zabrała z domu ok. godz. 2 Antoniego Junoszę Szaniawskiego a także Ryszarda Krynickiego. Zszokowanym gwałtownym najściem w nocy i wyprowadzeniem mężów i ojców rodzinom - nie udzielano żadnych informacji.

Córka doktora Junoszy-Szaniawskiego Agnieszka, która teraz jest również jak ojciec wziętym psychiatrą w Warszawie – wysłiznęła się rewidującym mieszkaniem przy okazji internowania ojca esbekom przez okienko w piwnicy i brnąć w koszuli nocnej na bosaka po śniegu dotarła do mojego domu. Nie miałem zupełnego pojęcia co się dzieje, ale niezwłocznie przez telefon wewnętrzny szpitala, który nie został, tak jak linie telefoniczne wyłączony, powiadomiłem dyrektora szpitala doktora Kazimierza Mielczarka. Umówiliśmy się, że zaraz spotkamy się w domu doktora Szaniawskiego. Biegając tam w największym podnieceniu w połowie drogi, jednak zawróciłem po dowód osobisty. I to prawdopodobnie uratowało mnie od spotkania z dokonującą internowania ekipą, ponieważ jak tam przybiegłem esbecji już nie było. Wkrótce pojawił się dyrektor, z którym uzgodniliśmy, że razem pojedziemy na posterunek milicji, żeby się coś dowiedzieć.

TRZEBA ZAPROTESTOWAĆ

Jednocześnie w trakcie z nim rozmowy cały czas – wydzwaniałem do znajomych działaczy „Solidarności” wzywając ich do stawienia się w szpitalu. Na posterunku MO w Branicach zastaliśmy przerażonego i tak na oko „trzeźwiejącego” dopiero co komendanta, który nic kompletnie w sytuacji się nie orientował. Wróciliśmy wtedy znowu do domu skąd aresztowano mi przyjaciela i stamtąd, wiedząc już wtedy, że telefony zewnętrzne są wyłączone, poprzez linię szpitalną zawiadamialiśmy o fakcie jego zatrzymania, każdego kogo się dało – prosząc o przybycie do szpitala. Wtedy uważaliśmy, że najważniejszym naszym zadaniem w zaistniałej sytuacji jest powiadomienie Zarządu Regionu „Solidarności” w Opolu oraz niezwłoczne przystąpienie do akcji protestacyjnej w tym przypadku strajku okupacyjnego w szpitalu.

W pracowni plastycznej, którą wtedy kierowałem zaczęliśmy przygotowywać plakaty i transparenty informujące o bezprzykładnej prowokacji służby bezpieczeństwa. Miałem też tam nagromadzone z innych akcji flagi biało-czerwone, po które, co raz ktoś przybywał. Poleciłem obudzić również kierownika kolumny transportu sanitarnego, jedynej jednostki szpitala dys-

ponującej łącznością radiową. W eterze też było głucho! O godz. 5 pisemną informację o wydarzeniach wręczyliśmy kierowcy pierwszego autobusu PKS, który wyjeżdżał z Branic do Opola.

W trakcie malowania transparentu usłyszałem ogłaszającego o 6 rano stan wojenny przez radio Jaruzelskiego. Wtedy – zgodnie z instrukcją wydaną przez Region Dolnośląski na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego – zacząłem flagi i transparenty ludziom zabierać – informując ich jednocześnie o tym, żeby się niezwłocznie udali do swoich domostw, że prowadzenie teraz akcji protestacyjnej nie ma najmniejszego sensu i może spotkać się ze strasliwym odwetem i niewspółmierną do aktów sprzeciwu represją.



Członek Zarządu Powiatu Stanisław Wodyński nad swoim biurkiem w starostwie miał zdjęcie z autografem Georga Buscha.



Wraz z przyjaciółmi prowadzi akcję pomocy grekokatolickiej parafii w Mariampolu na Ukrainie, dokąd wożą używany ale sprawny sprzęt rehabilitacyjny.

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Pacyfikacja Kopalni Wujek w Katowicach. Czołgi forsują mur.



Czołgi użyte w Wujku przyjechały do Katowic z Opola – należały do 10 Sudeckiej Dywizji Pancernej.



Niektóre czołgi utknęły, a ich załogi nie wiedząc jak się zachować, wolały pozostać w środku.



Foto: Archiwum prywatne

Stanisław Wodyński wychowywał się w Wadowicach, od 40 lat związany jest z Opolszczyzną. Mieszka w Branicach gdzie w tamtejszym szpitalu psychiatrycznym założył Pracownię Ekspresji, w której pracował 13 lat. Bohater filmów dokumentalnych. Był zaangażowany w działalność opozycyjną od 1978 r. oraz z zwycięskie wybory „kontraktowe” w 1989 r. Był pierwszym wójtem Branic i przez 8 lat członkiem zarządu powiatu głubczyckiego. Lubi podróżować swoim samochodem.

Opuściliśmy szpital rozpraszając się zgodnie z dyrektywą. W Branicach na ulicach pojawiły się patrole złożone z indywidualów z pod ciemnej gwiazdy, odzianych najprzeróżniejsze mundury, ORMÓ, rezerwy wojskowej itp. Niejaki L.Grajewski paradował w galowym mundurze oficera MO, bodajże kapitana, co było ranga dotąd u nas nie oglądana.

NARADA KOMISJI ZAKŁADOWEJ

Jednak w południe, pod ciśnieniem wydażeń postanowiono zebrać w budynku administracji szpitala Komisję Zakładową Solidarności. Na to spotkanie zostałem zaproszony przez osoby, z których jedna – później zrobiła „karierę” jako funkcjonariusz gminnego komitetu PZPR. Byłem przeciwny takiemu zebraniu – instrukcja z Wrocławia wyraźnie zabra-

niała tego rodzaju aktywności, która tylko narażała działaczy – ułatwiała pracę esbekom. Poszedłem jednak na to spotkanie i w sposób zdecydowany nawoływałem do rozejścia się i niszczenia dokumentacji związku, tak aby nie mogła być wykorzystywana przeciwko jego członkom. Z trudem udało się mi o tym przekonać przewodniczącego i innych członków prezydium komisji, ale w końcu wybiłem im z głowy „zamykanie się w formie protestu na oddziałach z najbardziej niebezpiecznymi pacjentami psychiatrycznymi”, barykadowanie w kościele itp.

Po 40 minutach wzajemnego przekrzykiwania się i oskarżania o kolaborację, tchórzostwo itp. – nawet w lekkim popłochu ewakuowaliśmy się z budynku dyrekcji. Spotkanie w dniu 13 grudnia miało dwa tygodnie później swoisty ciąg dalszy. Była to także niedziela – zjechała wtedy na posterunek milicji w Branicach specjalna grupa cywilnych funkcjonariuszy i rozpoczęła intensywne dochodzenie, którego celem było wyjaśnienie czy spotkanie w dyrekcji szpitala w dniu 13 grudnia 1981 naruszyło rygory stanu wojennego, czy też nie, czy uczestniczącym w spotkaniu osobom, a było ich tam wtedy z 11 działaczy można by postawić zarzut prowadzenia nielegalnej działalności?

KOGO JESZCZE ZAMKNAĆ?

Specgrupa kolejno wzywała na komendę wszystkich uczestniczących w owym zebraniu. Mieli oni nawet zadanie – informowania siebie nawzajem, kto teraz ma być przesłuchiwany. Moi koledzy byli porządnie wystraszeni, przed pójściem na posterunek pojawiali się u mnie w mieszkaniu, żeby się naradzić. Po powrocie z przesłuchania również, żeby zdać sprawozdanie z tego jak przebiegało. Trwało to dobrych parę godzin. Przesłuchujący pytali szczególnie o to, jak ja się zachowywałem i co mówiłem. Byłem więc przekonany, że mnie zamkną. Żonę poprosiłem żeby spakowała trochę bielizny na zmianę, zapas tytoniu i kilka fajek a sam postanowiłem się zdrzemnąć. Ostatni przede mną przesłuchiwany przyszedł z taką rewelacją – że ekipa się już z posterunku MO zabrała. Byłem jedyną osobą, której wtedy nie wezwali. Wyglądało na to, że w składzie przesłuchujących nie było aż takich wielkich gorliwców, żeby pozbawiać chorych psychicznie przebywających w szpitalu w Branicach opieki zamykając pracowników, tylko za to że się na krótko w samo południe 13 grudnia spotkali. Inna sprawa, że przy okazji przesłuchania zastosowano wyrafinowaną metodę każąc przesłuchiwanemu napisać własnoręcznie o tym co się pod czas tego spotkania działo i o czym mówiło. Mimo moich ostrzeżeń wszyscy co do jednego takie notatki przesłuchującym sporządzili, starając się nawet o to, żeby pisane przez nich teksty były jak najczytelniejsze.

Z perspektywy minionego ćwierćwiecza,

obserwując zachowania późniejsze niektórych tych, którzy wtedy byli przesłuchiwanymi – z całym przekonaniem mogę stwierdzić, że owe z pozoru niewinne i w gruncie rzeczy nieszkodliwe własnoręcznie sporządzone opisy zebrania w dniu 13 grudnia 1981 r. służyły do szantażu i deprawacji, miały złowieszczy wpływ na całe późniejsze ich życie.

EMISARIUSZ DO KURII

W trzecim dniu stanu wojennego, we wtorek – poinstruowany przez swojego proboszcza śp. ks. R. Szwarcza o tym, gdzie się mieści Kuria Diecezjalna udałem się autobusem do Opola. Obowiązywała już wtedy godzina policyjna i zakaz przemieszczania się obywateli bez zgody komisarza wojskowych wprowadzonych do każdej gminy i większego zakładu, więc spreparowałem, mając do dyspozycji pieczęć Komitetu Gminnego Stronnictwa Demokratycznego dokument „wzywający wszystkie władze cywilne i wojskowe do ułatwienia mi podróży do Opola w ważnych dla SD sprawach”. W trakcie jazdy odbyły się trzy kontrole, przeprowadzone przez patrole złożone z ORMÓ. Żaden nie zakwestionował wagi okazywanego przeze mnie „dokumentu”. W Opolu przeszedłem kilka razy ulicą Książąt Opolskich, ustalając usytuowanie gmachu siedziby biskupa i czy z sąsiadujących z Kuria budynków nie wycelowane są na jej wejście kamery filmowe. Z duszą na ramieniu zawisłem na klamce i wbiegłem do sieni, krzycząc do pytającej mnie za czym przybyłem zakonnicę, że ja w sprawie internowanych. Siostra wtedy otworzyła elektrycznym przyciskiem drzwi do środka. Wtedy poczułem się bezpieczny.

Pierwszy przyjął mnie Ks. Sitek. Wysłuchał, popatrzył w oczy i zaprowadził do ks. biskupa Antoniego Adamiuka. Ks. biskup spokojnie wypytawał mnie o internowanych w Branicach i o sytuacji ich rodzin, częstując mnie przy tym przeraźliwie twardymi pierniczkami. Interesowało go również co zamierzam robić dalej. Przedstawiłem mu plan, że przez strukturę Stronnictwa Demokratycznego, do którego wtedy należałem, będę się upominał o informacje i poprawę losu internowanych. Ks. biskup zaaprobował tego rodzaju działanie i polecił mi przyjechać jeszcze raz do Opola za parę dni. Kiedy się u niego ponownie pojawiłem to wręczył mi listę osiemdziesięciu paru internowanych przetrzymywanych w więzieniu w Opolu. W tym samym mniej więcej czasie obradowało plenum wojewódzkie SD, na które jakoś się dostałem i w trakcie obrad tego komitetu ujawniłem to, że internowani nie są zgromadzeni w ośrodkach wypoczynkowych, ale siedzą w więzieniu w Opolu. Moje wystąpienie zrobiło na zebranych olbrzymie wrażenie. Na koniec wręczyłem imienny spis internowanych z woj. opolskiego działaczki pani poseł prof. D.Simonides.

Stanisław WODYŃSKI

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Autor nieznany

Szybko Do akcji wkracza ZOMO – Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej.



Foto: Autor nieznany

Ciężko ranny górnik w trakcie opatrunku. Chwilę później ZOMO-wcy zatrzymali karetki i wyrzucili z nich rannych, zerwali im kroplówki i opatrunki, a następnie ich pobili.



Foto: Autor nieznany

Górnicy niosą rannego kolegę do zakładowego gabinetu lekarskiego.

KIETRZ 13 GRUDNIA 1981 R. - SOLIDARNOŚĆ RZĄDZI

Z podniesionym sztandarem

Jak każda wojna tak i wojna wypowiedziana nam 30 lat temu przez generała w lekko przyciemnianych okularach była zaskoczeniem. Nie spodziewali się jej zwłaszcza członkowie Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy Zakładach Tkanin Dekoracyjnych „Welur” w Kietrze.

Członkowie zakładowej „Solidarności” w „Welurze” akurat na feralną niedzielę 13 grudnia 1981 r. zaplanowali uroczystość poświęcenia swojego sztandaru. Zaprosili gości z bliższych i dalszych stron, uprosili biskupa Antoniego Adamiuka o osobiste przybycie i dokonanie tego uroczystego aktu.

– **Wszystko było przygotowane** – opowiada inżynier Włodzimierz Tręć, dziś rencista, a wtedy Kierownik Działu Organizacji i Zarządzania i doradca Komisji Zakładowej „Solidarności”. – **Szczegółowy program miałem zapisany bo byłem odpowiedzialny za przebieg uroczystości.**

Mieli wybrać się z Głubczyc do Kietrza całą rodziną. Jednak już w nocy dostali informację, aby uciekać bo są jakieś aresztowania, wszędzie pełno wojska. Nie mieli pomysłu gdzie uciec więc zostali.

Ze sztandarem i orkiestrą dętą

Rano, po namyśle zdecydowali jednak, że żona z dziećmi zostanie w domu. Pan Włodzimierz pojechał do Kietrza z kolegą Wiktorem Bacem Przewodniczącym komisji z Raciborza. Na miejscu został poproszony o udanie się do gabinetu dyrektora. Ten namawiał go, aby zrezygnowali z uroczystości lub przynajmniej przeprowadzili ją jakoś dyskretnie.

– **Zwinnie jakoś ten sztandar, pod kurtę schowajcie i małymi grupkami idźcie do tego kościoła jak już musicie** – radził z dobrego serca i z troski o własny stółek.

Niestety, przedstawienie jego propozycji Komisji Zakładowej nie dało wielkiego efektu. Ci ludzie byli rzeczywiście zdolni do wszystkiego. Mimo, że generał wyraźnie mówił o tym, że Polska jest na skraju przepaści, podjęli decyzję, aby przejść przez miasto pochodem, w szyku zwartym z orkiestrą i z rozwiniętymi sztandarami, własnym oraz zaproszonych delegacji różnych zakładów. Przybyli nawet w galowych mundurach górniczy z Pszowa z kopalni Anna. Nie dotarło tylko dwóch członków Kom-



Włodzimierz Tręć, w roku 1980 był doradcą Komisji Zakładowej „Solidarności” w kietrzańskim „Welurze”



30 lat temu ludzie byli gotowi dla tego sztandaru iść do więzienia, dziś sztandar wyprowadzany jest tylko na pogrzeby...

udało się zrealizować, a od generała dostali nawet „honorową” asystę milicyjnych gazików i innych mundurowych i nie mundurowych panów.

Sztandarowa odyseja

Jednak upieranie się przy realizacji założonych planów nie zawsze dobrze się kończy. Już wkrótce miały ich spotkać rozmaite przykrości. Przewodniczący Kazimierz Gawroński został internowany i jego obowiązki musiał przejąć zastępca Adam Gielik, wspierała go w trudnych momentach Genowefa Niedzielska. Włodzimierz Tręć został uroczysto wyrzucony z pracy już z końcem grudnia 1981. Potem długo „nie mógł” jej znaleźć, a kiedy już znalazł, to jego nowi szefowie musieli się z tego tłumaczyć.

Sztandar po uroczystościach nie wrócił już do „Weluru”. Ukrywany był w różnych miejscach, jak na przykład w kościele czy klasztorze w Kietrze. Bywał też na Mszach za Ojczyznę organizowanych w Warszawie przez księdza Jerzego Popiełuszkę. Po którejś z nich został na dłużej ukryty w podziemiach tamtejszego kościoła.

Dziś Włodzimierz Tręć mówi nam: – **Mimo upływu lat bardzo przeżywam to, że Kazik Gawroński, który w pewnym sensie za moją przyczyną został wybrany na przewodniczącego, wiele wycierpiał i to nie tylko on ale i jego rodzina. A przecież intencje jego były czyste, chciał pracować dla dobra całej załogi, no i jak większość ówczesnych działaczy myślał o poprawieniu bytu nie tylko własnej załogi, ale całego kraju. Kazik zapłacił za te dobre chęci szczególnie drogo i chyba płaci do dziś. Sądziłem, że odzyskanie przez Polskę suwerenności da nam możliwość wybrania do wszystkich władz ludzi uczciwych i mądrych, a w konsekwencji poprawę sytuacji całego naszego społeczeństwa. Jeśli to nie całkiem się udało, to wina nas wszystkich. Za mało przykłady uwagi do tego jak zachowują się nasi „wybrańcy”, niezbyt uważnie patrzymy im na ręce, a potem znowu wybieramy byle jak, chyba po to by mieć na kogo narzekać przez kolejne cztery lata. I tak w koło marnujemy i czas, i nasze życie.**

Sztandar Przechowywany jest na plebani kościoła skąd wyprowadzany jest jedynie na pogrzeby.

Tekst i foto: Jacek BEZEG



Dziś „Welur” nie produkuje już słynnych kietrzańskich dywanów. Sprawili to udział w Programie Powszechnej Prywatyzacji.

Tadeusz Kasprowicz: wspomnienia z internatu

Na dołku i pod celą

Gdzieś na początku trzeciej dekady kwietnia 1982 r. – 21, 22, a może 23, dokładnie nie pamiętam – zostałem aresztowany i zawieszony do gmachu KW MO w Opolu, przez trzech umundurowanych funkcjonariuszy SB. Grupą dowodził Stanisław Dziedzic, do dziś mieszkający w sąsiedniej klatce schodowej.

Wcześniej, gdy o godz. 6 rano wdarli się do mieszkania, rozpoczęła się rewizja, urzędowo zwana przeszukaniem. Nikomu z domowników nie wolno było opuścić mieszkania; my z żoną nie mogliśmy pójść do pracy, a córka do szkoły. Rewizja trwała ponad 4 godziny. W mieszkaniu nie było wiele sprzętów, ale był (i jest do dziś) dość duży księgozbiór; funkcjonariusze przetrząsali więc książkę za książką. Jak na tak mrowczą pracę „urobek” mieli niewielki, zaledwie trzy druki: maszynopis mojego artykułu „Cyrk w teatrze”, którego nie zdążyłem opublikować przed wprowadzeniem stanu wojennego, o konflikcie pomiędzy Komisją Zakładową „Solidarności” a dyrekcją Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu, szopkę noworoczną 1982, oraz odezwę do ludzi pracy w związku Sowietom po rosyjsku. Na każdym z tych druków musiałem złożyć adnotację „znaleziono w moim mieszkaniu” wraz z datą i podpisem. Na wszelki wypadek rozszerzyłem ją i w mojej wersji brzmiała ona następująco: „znaleziono w moim mieszkaniu w jednym egzemplarzu”.

Teraz żona i córka mogły wyjść z mieszkania, mnie esbecy zabrali ze sobą, ce-

lem, jak twierdzili, złożenia kilku wyjaśnień. Owe rzekome wyjaśnienia okazały się przesłuchaniem. Brało w nim udział 5 funkcjonariuszy, z tym, że albo był to tzw. krzyżowy ogień pytań, albo jedni wychodzili, a inni wchodzili. Obie metody stosowane były po to, by mnie zdekoncentrować. Nigdy dotąd nie byłem przesłuchiwany i nie miałem doświadczenia, jak się w takiej sytuacji zachować. Wprawdzie czytałem krążącą w moim ówczesnym środowisku instrukcję, że poza danymi z dowodu osobistego, na wszelkie inne pytania odpowiada się: „nie wiem”, „nie znam”, „nie pamiętam”, ale w praktyce nie jest to takie proste. Żadna instrukcja nie jest w stanie przewidzieć wszystkich sytuacji. Przesłuchujący nie mieli zamiaru posuwać się do rękoczynów, nie podnosili nawet głosu. Tylko jeden z nich ironizował na temat mojej słabej pamięci, gdy odpowiadałem na któregoś z pytań sakramentalnym: „nie pamiętam”. W końcu, zirytowany, zagroził mi: „Jeśli nic nam pan nie powie, będzie pan siedział do końca stanu wojennego”. Odpowiedziałem spokojnie, że jestem na to przygotowany.

Przesłuchujących interesowały trzy

sprawy: moje kontakty z pracownikiem teatru, moje kontakty z Bronisławem Lewczakiem, plastykiem zatrudnionym w Zarządzie Regionu (dziś mieszkającym w Niemczech), oraz to, od kogo otrzymałem noworoczną szopkę i odezwę po rosyjsku.

Jeśli idzie o pierwszą sprawę, zrozumiałem teraz, dlaczego zainteresował ich mój artykuł. Odpowiedziałem, że poza kontaktami, które w nim zrelacjonowałem, nigdy więcej z jakimkolwiek pracownikiem teatru się nie spotkałem.

Była to oczywiście nieprawda. Bodajże zaraz następnego dnia po wprowadzeniu stanu wojennego spotkałem przypadkowo na ulicy młodego Warmuzka, członka KPN, który wraz z ojcem pracował w opolskim teatrze. Ponieważ dłuższa rozmowa na ulicy była niebezpieczna ze względu na węszące „psy”, czyli tajników i kapusiów, umówiliśmy się na następny dzień. Nazajutrz jego samochodem pojechaliśmy poza Opole, a za nami pojechał aktor Andrzej Wiatrowski, wtedy przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności” w Teatrze. W okolicach Zagwiździa wjechaliśmy w las, tu nie mógł nas nikt podsłuchiwać, ani obserwować.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. Widziałem, że A. Wiatrowski jest spotkaniem wyraźnie rozczarowany. Pewnie dlatego, że każdy z nas czego innego oczekiwał. Mnie chodziło o budowanie struktur konspiracyjnych tu na miejscu, w Opolu. Aktora natomiast interesowały moje kontakty w Warszawie. Gdy im zaprzeczyłem, stracił zainteresowanie. Ale czego się spodziewał? Przecież nawet gdybym miał tam jakieś umocowanie i tak bym mu o tym nie powiedział. Wróciliśmy do Opolu z niczym i więcej ich nie widziałem.

Jeśli idzie o B. Lewczaka, przesłuchujących interesowało to, kiedy ostatni raz się z nim widziałem i czy znam jego żonę. Zaprzeczyłem, że ją znam, choć była to oczywiście nieprawda, ale to moje kłamstwo ucięło jeden wątek przesłuchania, które, gdyby się rozwinęło, nie wiadomo, do czego mogłoby doprowadzić.

Co się natomiast tyczy ostatniego spotkania z B. Lewczakiem, powiedziałem, że miało ono miejsce w siedzibie Zarządu Regionu jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Na to S. Dziedzic: „Kłamie pan. Spotkaliście się (tu wymienił dokładną datę, której dziś już nie pamiętam) w Urzędzie Miejskim w Opolu”. „No tak, ale było to spotkanie, spowodowane wezwaniem urzędowym, a nie prywatne”. I tak było rzeczywiście. Odbывало się wtedy posiedzenie komisji, która miała rozstrzygnąć kwestię wypłacenia nam zaległych poborów (nawiasem mówiąc, nie zdążyłem ich wtedy odebrać, ponieważ niedługo po tym posiedzeniu zostalem internowany).

Rzecz jasna w sprawie kontaktów z B. Lewczakiem również kłamałem. Po wpro-



Tadeusz Kasprowicz – dziennikarz, nauczyciel, założyciel KZ „S” w SP w Budkowicach Starych. Rzecznik prasowy MKZ, redaktor „Solidarności Opolszczyzny” – organu MKZ Opole. Członek Komisji Pism Związkowych (utworzonej

1 VIII 1981 na Zjeździe Prasy Niezależnej w Puławach). Współzałożyciel (m.in. z Heleną Łuczyno i Sewerynem Blumsztajnem) Agencji Solidarności. W stanie wojennym organizator nieoficjalnych zajęć dla młodzieży z historii i propedeutyki wiedzy o społeczeństwie, publicysta i kolporter niezależnej prasy. W kwietniu 1982 zatrzymany i internowany w Grodkowie. Po wyjściu wychowawca w Internacie Szkoły Przyzakładowej OPBP, zwolniony za odmowę prowadzenia młodzieży na pochód 1-majowy. Od 2007 członek Opolskiego Stowarzyszenia Pamięci Narodowej.

wadzeniu stanu wojennego odwiedzałem go w jego mieszkaniu na osiedlu ZWM w Opolu (wtedy poznałem jego żonę), które było czymś w rodzaju skrzynki kontaktowej. Stamtąd przerosłem nielegalną prasę do służbowego mieszkania Jana Całki na Pl. św. Sebastiana, w lokalu „Paxu”. J. Całka był wtedy etatowym pracownikiem tego stowarzyszenia. Kilku-miesięczną współpracę z nim rozpocząłem jeszcze przed Bożym Narodzeniem 1981 r. Roznosiliśmy wtedy (brał w tym również udział ówczesny wicedyrektor Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Opolu) żywność, głównie kielbasę, rodzinom internowanych.

Tym, którzy nie pamiętają, przypominam, a tych, którzy nie wiedzą, informuję, że żywność była wtedy na kartki, zaś



Od prawej: Roman Kirstein i Tadeusz Kasprowicz podczas spotkania w MKZ.

zwłaszcza mięso i jego przetwory stanowiły towar z jednej strony – deficytowy, z drugiej – niezwykle pożądany. Muszę w tym miejscu odnieść się do działalności Jana Całki. Otóż jeśli tamtą, charytatywną działalność oceniam pozytywnie, to jego późniejszą, zwłaszcza po 1982 r., działalność konspiracyjną i polityczną – zdecydowanie negatywnie.

Wróćmy jednak do mojego przesłuchania. Trzecia sprawa dotyczyła owych nieszczesnych druków: odezw i szopki. Obecnemu pokoleniu wydawać się to może groteskowe, ale w tamtych czasach za takie rzeczy wsadzano do więzienia. Wtedy obśmiewać można było jedynie „zapłutych karłów reakcji”; partia i rząd organizowały nawet specjalne seanse nienawiści. Dziś byle pęta obśmiewa Jarosława Kaczyńskiego i PiS, uważając to za zdobycz demokracji i nie widząc, że rządząca partia nim manipuluje, posługując się podobnymi seansami nienawiści.

Na pytanie od kogo dostałem te druki, odpowiedziałem, że nie pamiętam, odpowiadając się do pewnej psychologicznej prawidłowości, że ktoś taki jak ja, kogo znali wówczas setki ludzi, nie mógł zapamiętać wszystkich pojedynczych osób z owych setek. Na tym przesłuchanie się skończyło, a ja powędrowałem na tzw. dołek, czyli do celi w piwnicach milicyjnego gmachu.

W celi, do której trafiłem, było dwu aresztantów: zabójca i włamywacz, któremu ponoć udowodniono już w śledztwie 7 włamań. Gdy dowiedzieli się, że jestem polityczny, zaczęli złorzeczyć komunizm; najchętniej widzieliby wszystkich komunistów wiszących na latarniach i drzewach. Wydało mi się to podejrzane i nie przyłączyłem się do ich duetu. Zacząłem też mieć wątpliwości, czy są faktycznie tymi, za których się podają. W następnych dniach byli wzywani na przesłuchania zawsze przede mną.

Choć przesłuchiwanie mnie niczego nowego już nie wnosiło. S. Dziedzic sadzał mnie przed swoim biurkiem, na którym leżał czysty blankiet zwolnienia z aresztu. Byłem jednak odporny na tego rodzaju przynęty. Któregoś dnia powiedział mi: „Panie Kasprowicz, gdyby to ode mnie zależało, dawno bym już pana zwolnił do domu. Ale szef każe mi trzymać pana w areszcie”. Miałem już na końcu języ-

ka odpowiedź, że wszyscy wykonawcy zbrodni politycznych tak się tłumaczyli, ale wstrzymałem się, by nie pogarszać swojej sytuacji. Na takich jak on mówiliśmy zwykle: „łaskawe panisko”, co, zwążywszy na jego nazwisko, nabierało dodatkowego, ironicznego zabarwienia.

Moji piwniczni współmieszkańcy zachowywali się wobec mnie niezwykle przyzwyczajeni, mógłbym nawet powiedzieć, że z pewną atencją. Dzielili się ze mną żywnością z paczek od rodzin, papierosami. Moja żona przez ponad tydzień nie mogła się dowiedzieć, gdzie jestem i czy jeszcze żyję. Była to forma psychicznego znęcania się nad rodzinami. O żadnej paczce od niej nie było więc mowy.

Dni były wtedy niezwykle zimne, na zewnątrz padał mokry śnieg, a ja zostałem zabrany z domu bez ciepłej bielizny, bez swetra, w cienkiej wiosennej kurtce. Do spania na „katafalku”, czyli drewnianej pryczy na stałe przymocowanej do ściany, dostałem prześcieradło, wytarty koc i poduszkę. Włamywacz wystawił więc na noc przed celą drugą parę swych spodni (miał jeszcze ciepłą białą i grubą dres), a ja spałem w skarpetkach, spodniach i kurtce.

Nie pozwolili mi też zamykać, ani sprzątać celi, kiedy przyszła moja kolej, twierdząc, że to robota nie dla mnie. Nie mówiąc już o wynoszeniu kubła z odchodami. Może więc byłem dla nich niesprawnym. Ale ostrożności nigdy zadość. Wreszcie nadszedł dzień, gdy S. Dziedzic wręczył mi decyzję o internowaniu. Drugiego dnia od wręczenia decyzji załadowano nas do milicyjnej nyski i ruszyliśmy drogą w kierunku Grodkowa.

Grodków przywitał nas poprawiającą się z dnia na dzień pogodą. Po zarejestrowaniu, a następnie zafasowaniu blaszanych misek i talerzy, aluminiowych sztućców, więziennych gaci i więziennych koszul zostaliśmy rozprowadzeni po celach. Wraz z Eugeniuszem Wolnickim z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Opolu trafiłem do 8-osobowej celi od strony południowej na końcu korytarza na piętrze. Korytarz kończył się zakratowanym oknem, z którego był widok poza mur więzienny. Pod oknem stał stolik, przy którym można było usiąść, wypić kawę, czy herbatę, poczytać, albo pograć w karty.

„Pod celą”, znajdowało się już pięciu

internowanych z Wrocławia, w tym student Politechniki Wrocławskiej. Jak się później okazało, najrozsądniejszym z nich był wrocławski drukarz, Adam Węgierski, człowiek wierzący. Pozostali to ateusze, bądź agnostycy, ludzie przemądrzały i pyszałkowaci. Jeden, o urodzie „świńskiego blondyna” cierpiał na słowotok; gęba mu się nie zamykała, jakby miał słowną biegunkę.

Początkowo, jako ofiary „łapanek” (tak się wtedy mówiło, ozywając słownictwo z czasów okupacji niemieckiej; SB to było „gestapo”, co, w intencji obraźliwe, w rzeczywistości oddawało charakter tej tajnej policji politycznej) wzbudziliśmy zainteresowanie naszych towarzyszy niedoli. Przychodzili nas również oglądać, jak mały w zoologu, ludzie z innych cel. Spotkałem wówczas znajomego, Jarosława Brodę, którego poznałem podczas zjazdów prasy związkowej w Ursusie i Puławach, kolejno w maju i sierpniu 1981 r. Nie pamiętam, czy znajdował się wśród uczestników I zjazdu w Hucie „Katowice”, w styczniu 1981 r.

J. Broda był jednym z internowanych, którzy w więzieniu zawarli związek małżeński. Uroczystość przebiegała w ten sposób, że najpierw odbywała się ceremonia zaślubin w pomieszczeniu administracyjnej części więzienia; potem pan młody wracał za kratki, a jego świeżo poślubiona małżonka tam skąd przyjechała. Przedtem jednak wraz z towarzyszącymi jej osobami stała z drugiej strony więziennego muru, a mąż machał jej na pożegnanie z okna więziennego korytarza.

Następnie odbywały się dwa przyjęcia weselne; to więzienne w naszej celi, ponieważ była jedną z dwu największych. W ciekawy sposób przemycano alkohol na to przyjęcie. Znacznie wcześniej, bo na kilka tygodni przed ślubem w paczkach od rodzin trafiały metalowe puszki z sokiem pomarańczowym. Nie było w nim jednak soku, lecz czysty spirytus. Jak się do niej dostawał? Najpierw w spojeniu robiony był mały otwór. Potem strzykawką wypompowywano sok i tą samą strzykawką pompowano alkohol, otwór lutowano, zacierano ewentualny ślad i puszka ze spirytusem była gotowa.

Po początkowym zainteresowaniu nasze notowania spadały. Działo się tak z dwu powodów. Po pierwsze – pochodziliśmy z Opola, a nasi wykształceni współtowarzysze (jeden był nawet asystentem na uniwersytecie) uważali, że w Opolu in gremio mieszkają ludzie głupszy niż we Wrocławiu. Przypomina to do złudzenia dzisiejszy podział na tych „wykształconych, z wielkich miast” i całą resztę. Po drugie – różnicowali internowanych wedle dnia aresztowania; najwyżej w hierarchii stali zatrzymani 13 grudnia 1981 r., stanowiąc swego rodzaju arystokrację. Już jeden dzień później obniżał rangę internowanego. Dodatkowo rangę podwyższała współpraca z KOR (Komitet Obrony Robotników), a już całkowicie aurę świeckiej świętości i najwyższego stopnia wtajemniczenia nadawał nawet jednorazowy pobyt w warszawskim mieszkaniu Jacka Kuronia. Ma się rozumieć, że wraz z E. Wolnickim staliśmy na samym dole tej hierarchii.

Oczywiście nie wszyscy wrocławianie podzielali te uproszczenia, będące wyrazem jakiejś umysłowej aberracji. W nudnym więziennym życiu sami organizowaliśmy sobie zajęcia. Była to m. in. nauka języków obcych. Uczestniczyłem w kursach j. angielskiego i j. francuskiego. Nie przypominam sobie, by któryś z „arystokratów” brał w nich udział. Zajęcia z an-

gielskiego prowadził internowany nazwiskiem Biały (imienia niestety nie pamiętam; pamiętam tylko, że był brunetem), natomiast z francuskiego – Seniuta (imienia również sobie nie przypominam; był doktorem praw).

Prócz nauki języków obcych i lektur, niektórzy spędzali czas na grze w bilard, czy w brydża (odbył się nawet turniej brydżowy). W pogodne, słoneczne dni, wylegiwaliśmy się na spacerniku, a niektórzy grali w siatkówkę. Przy okazji tej gry padały głośne przekleństwa, aż nam to kiedyś wypomnił ksiądz podczas kazania na mszy św., która odbywała się co tydzień w piątek na korytarzu I piętra przy prowizorycznym ołtarzu. Nasz chorałny śpiew był tak donośny, zwłaszcza, gdy śpiewaliśmy pieśń konfederatów barskich, że aż drżały mury małego, grodzkiego więzienia. Z chóru wybijał się czysty, silny, donośny głos Jur-

i współpracy. Większość z nas odmawiała takich rozmów, lecz niektórzy zgadzali się na nie. Czy podejmowali współpracę, nie wiem. Być może w pojedynczych przypadkach tak. Inną formą ingerencji były przenosiny z celi do celi. Miało to spotkać i mnie. Odmówiłem przeniesienia się. Za niesubordynację miałem zostać ukarany trzema dniami „kabaryny”, czyli odosobnienia. Ale przed zamknięciem w kabarynie należało przejść badania lekarskie. W grodzkim więzieniu nie było lekarza tylko felczer. Ten nie chciał podjąć decyzji. Zawieziono mnie więc do więzienia w Brzegu. Tam lekarz-okulistka po zbadaniu moich oczu i informacji, że z większej celi południowej i z dwoma oknami mam zostać przeniesiony do mniejszej z jednym oknem i od strony północnej, kategorycznie zabroniła tych przenosin. Gdybym więc spotkał komendanta, mógł



Więzienny korytarz „Internatu”. Zdjęcie zrobione potajemnie przemyconym aparatem.

Foto: A. Klusik

ka Deptuły z Kluczborka, sympatycznego mi człowieka. Sympatię tę wzmacniały znakomite konfitury z płatków róży, które przywoziła mu do więzienia jego żona. Niestety, Jurek już od szeregu lat nie żyje.

Gdzieś pod koniec maja, a więc po miesiącu pobytu w więzieniu, kławisz powiadomił E. Wolnickiego, by się pakował i zdał do magazynu więzienne rzeczy. Na twarz kolegi widać było nieukrywaną radość, a ja mu bardzo zazdrościłem domniemanego zwolnienia. Istniał przy tym taki zwyczaj, że każdy zwalniany zjawiał się za więziennym murem, a my machaliśmy mu z okna na korytarzu na pożegnanie. Ale Gienek się nie pojawił. Z więzienia zabrało go dwu „smutnych panów” i zawiozło do Opola. Wyszedł pod koniec roku, po rozprawie i wyroku. W notesie dziewczyny, która była łączniczką pomiędzy konspiratorami, funkcjonariusze SB znaleźli jego pseudonim i inne namiary. Reszta była już tylko kwestią czasu.

Najradośniejsze były spotkania z rodziną. Odbywały się one w budynku administracji więziennej. Niestety, ciążyły nad nimi ograniczenia czasowe. A potem następował moment pożegnania. I to było najgorsze, choć każdy starał się trzymać fason.

SB nie dawała nam spokoju nawet w więzieniu. Namawiała do rozmów

łbym mu pokazać gest Kozakiewicza. Ale go nie spotkałem.

Jeszcze inną formą, uprzykrzającą nam życie, było podglądanie nas przez niektórych kławisz przez „lipa”, czyli wierniki. Efektem tego były przeszkania, zwane „kipiszami”. W odwecie porysowaliśmy szkiełka we wszystkich celach papierem ściernym i pozamazywaliśmy margaryną. Wściekły komendant nakazał skazanym z obsługi więzienia powymieniać wszystkie „lipa”. Ci nie kryli zadowolenia z naszego czynu. Po wymianie wszystkich „lip” któryś z nas poprosił jednego z odwiedzających o dostarczenie rolki przeźroczystych pornograficznych. Rolka została pocięta na klatki, a każda klatka umieszczona w „lipie”. Do dnia mojego wyjścia z więzienia, czyli 23 lipca 1982 r., żaden z kławisz nie zameldował komendantowi, co widział w „lipie”.

Wreszcie nadszedł upragniony dzień zwolnienia. Po załatwieniu formalności najpierw poszliśmy przed mur więzienny, by pożegnać się z kolegami, a potem do kościoła. Rysiek Chilczuk padł na kolana i gorąco się modlił. Widziałem, że po jego policzkach spływały łzy. Ja nie byłem taki wrażliwy. Potem, na postoju, wsiedliśmy do taksówki. Ruszyła. Wiozła nas do naszych rodzin, do wolności.

Tadeusz KASPROWICZ

WYWIAD: WIESŁAW UKLEJA STUDENCKI LIDER LAT 80-TYCH

Zawsze antykomunista

O zakładaniu w Opolu Niezależnego Zrzeszenia Studentów, szkolnej grupie destrukcyjnej w I LO i niepodległościowej konspiracji rozmawiamy z Wiesławem Ukleją liderem opolskiej NZS.

– Niedawno ukazał się artykuł, z którego wynika, że już jesienią 1980 r. znalazł się pan na liście osób, które SB wytypowała do „izolowania” w chwili wprowadzenia stanu wyjątkowego? Tak szybko pan podpadł?

– Służba Bezpieczeństwa interesowała się mną wtedy już od paru lat. „Zapracowałem” na to zainteresowanie już około roku 1973, kiedy w grupie uczniów I Liceum Ogólnokształcącego powstała antykomunistyczna grupa, w której skład oprócz mnie wchodził Krzysztof Tomański, Jacek Kowal, Andrzej Jarosz i Zbigniew Bereszyński. Z tym ostatnim od tamtej pory stanowiliśmy antykomunistyczny duet polityczny. Mój sąsiad z bloku Zbigniew Bitka zdobył z pracy swojej matki powielacz spirytusowy, na którym chcieliśmy wydawać jakąś wolną prasę. Okazało się, że zamieszanie, które wywoływaliśmy w szkole na lekcjach historii czy wychowania do życia w rodzinie socjalistycznej, spowodowało roztoczenie nad nami opieki SB, inwigilację naszej korespondencji i podsłuchiwanie rozmów telefonicznych. Dopiero po 30 latach dowiedziałem się z akt IPN, że o powielaczu SB dowiedziało się z mojej korespondencji z osobą, która miała odbierać tę prasę. Esbecka brigada spenetrowała piwnice wszystkich naszych znajomych, aż w końcu włamali się do piwnicy Zbigniewa Bitki i powielacz po prostu zniknął. Wyglądało to jak zwykłe włamanie. Esbecy kręcili się po budynku pod pozorem sprawdzania instalacji gazowych. Ta akcja odbyła się jako „sprawa operacyjnego rozpoznania kryptoniem Powielacz”.

Od tamtej pory przez dwa tygodnie byliśmy pod stałą kontrolą bezpieki. Jeździli za nami, wyglądało to jak w taniej produkcji sensacyjnej. Duży fiat jeździł z kompletem ubeków, którzy udawali, że czytają „Trybunę Opolską” i obserwowali co robimy po lekcjach. W końcu w trakcie lekcji dyrektor wezwał nas do swojego gabinetu, gdzie na każdego z nas czekało dwóch panów w czarnych skórzanych płaszczach, którzy odwozili nas na przesłuchanie do Komendy Wojewódzkiej MO. To przesłuchanie to była właściwie taka połajanka dotycząca naszej działalności propagandowej w czasie lekcji i naszych spotkań w piwnicy kolegi Bereszyńskiego, gdzie znajdował się

wykonany przez Zbigniewa plakat z hasłem „Bij moskala” z dwoma mieczami przebijającymi czerwoną gwiazdę. Spotykaliśmy się w tej piwnicy, śpiewaliśmy antysowieckie piosenki i słuchaliśmy Radia Wolna Europa, o czym jak się okazało donieśli na SB sąsiedzi.

Ze względu na naszą działalność dyrekcja szkoły nazwała nas „grupą destrukcyjną”, co było dla nas bardzo nobilitujące i zachęcało nas do dalszej aktywności, którą kontynuowaliśmy także po ukończeniu szkoły, co nastąpiło w 1975 r. W tym samym roku w Opolu ktoś przeprowadził akcję podpalania ośmiu sklepów na ósmym zjazd PZPR. Rozrzucono też ulotki z hasłem „Jeszcze jedna podwyżka a Opole spłonie jak szyszka”. Organizatorzy tej akcji w końcu wpadli, ale zanim to nastąpiło byłem przez SB podejrzewany o organizowanie tych podpałów, przesłuchiowano mnie i sprawdzano moje alibi.

Ja i Zbigniew Bereszyński zostaliśmy wtedy przyjaciółmi politycznymi, co trwało aż po niedawne czasy współczesne. Także podczas studiów każdy z nas osobno próbował oddziaływać na środowisko, w którym się znalazł. Zbigniew poszedł do Wrocławia na chemię, ja studiowałem na wydziale mechanicznym w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Opolu, gdzie podczas zajęć typu politycznego, czy na ekonomii politycznej socjalizmu próbowałem dyskutować z przedstawianymi tezami, co często uniemożliwiali realizowanie zajęć i dzięki takim wydarzeniom później, w sierpniu 1980 r. miałem ustaloną markę wśród kolegów. Było mi więc bardzo łatwo zgromadzić grupę osób chętnych do rozpoczęcia działalności Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Wcześniej jednak ciekawa akcja odbyła się w roku 1978, rozlepiliśmy wtedy w Opolu plakaty fotograficzne w formie listu gończego z podobizną Edwarda Gierka, w któ-



Foto: BEZ

Wiesław Ukleja – twórca NZS na opolskiej Wyższej Szkole Inżynierskiej, członek władz krajowych NZS, internowany, działacz Solidarności Walczącej i KPN. Przeciwnik ugody okrągłego stołu.

rych napisaliśmy, że człowiek ten jest poszukiwany za zdradę stanu, bo dopuścił się zdrady ojczyzny pozostając na usługach Moskwy. Zaangażowano wtedy wielkie siły w celu wykrycia sprawców. Po dwóch miesiącach zostaliśmy zatrzymani – wsypał nas kolega, który wiedział o tej akcji. Poszukiwania zaczęły się od tego, że pewna kobieta przyniosła na milicję taki plakat, by zameldować, że gdzieś widziała tego poszukiwanego. Rozpracowaniu tej sprawy SB nadało kryptonim „Fotograf”. Po tej akcji byliśmy już działaczami opozycyjnymi z ostrogami.

Charakterystycznym momentem mojej drogi politycznej była odmowa na propozycję współpracy złożoną nam za pośrednictwem Zbigniewa Bereszyńskiego przez wrocławski SKS (Studencki Komitet Solidarności – red.). Nie chcieliśmy z nimi współpracować, bo dla nas SKS był emanacją środowiska lewicy laickiej spod znaku KSS KOR, które nie miało w swoim programie walki o niepodległość, a jedynie reformowanie systemu komunistycznego. Miało to swój epilog w 2005 r., kiedy otrzymałem Złoty Krzyż od Prezydenta Lecha Ka-

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Autor nieznany

ZOMO rozpędza mieszkańców osiedla blokujących dojazd do Kopalni Wujek.



Foto: Autor nieznany

Pacyfikacja Zarządu Regionu „S” w Łodzi.



Foto: Marek Czarnecki

Wrocław: zamieszki 3 maja 1982 r.

czyńskiego i miałem być odznaczany razem z działaczami SKS-u we Wrocławiu, oni nie poinformowali mnie o tej uroczystości. Te animozje są bardziej trwałe niż mogło by się wydawać.

Tak się akurat złożyło, że latem 1980 r. wraz z kolegą z roku Januszem Smoczyńskim na polecenie naszego promotora zbiegaliśmy materiały do naszej pracy magisterskiej w Szczecinie. Na sześć tygodni pojechaliśmy do tamtejszego oddziału PKS, gdzie gromadzono materiały statystyczne na temat awaryjności i uszkodzeń pojazdów. Tym sposobem znaleźliśmy się w centrum wydarzeń w Szczecinie, gdy rozpoczęły się strajki na Wybrzeżu. Szczeciński PKS także strajkował. Mieszkaliśmy w nieco opustoszałym w okresie wakacyjnym akademiku przy ul. Ku Słońcu, który był położony nieopodal jednostki wojskowej. Gdy zaczął się strajk w stoczni szczecińskiej pewnego ranka usłyszeliśmy jadące ulicą wozy bojowe. Pierwszą moją reakcją było zbieranie po pokojach akademika butelek po alkoholu i zakup benzyny. Okazało się jednak, że wojsko pojechało nie pacyfikować stoczni, tylko na poligon. W oknie akademika powiesiliśmy wtedy jedyny na całej Politechnice Szczecińskiej plakat głoszący, że studenci z Opola solidaryzują się ze strajkującymi stoczniovcami.

Na wspomnianej liście osób, które jesienią 1980 r. SB typowała do „izolowania” wymienieni są pracownicy WSI: dr Waldeemar Matlachowski i dr Ryszard Ciecierski. Przyczyniło się do tego kilka faktów. Kiedy przebywaliśmy na tej wysuniętej szczecińskiej placówce o strajkach dowiedział się nasz promotor Jan Pomierny i wbrew zakazowi prorektora ds. nauki przyjechał do nas na trzy dni do Szczecina, żeby nie zostawiać studentów samych w trudnej sytuacji. Sam był zaciekawiony tym co się działo w Szczecinie. Pomógł nam przepisywać te materiały do pracy magisterskiej, po to byśmy mieli wolne ręce i mogli zbier

ać materiały strajkowe. Biegaliśmy wtedy po stoczni i innych zakładach zbierając postulaty, drukowane tam wydawnictwa. Janek Pomierny stał się emisariuszem sprawy „Solidarności” przewożąc te materiały na teren opolskiej WSI, gdzie już zebrała się grupa zainteresowanych co się w ogóle dzieje, która zastanawiała się co robić i jak działać. Wśród nich byli doktorzy Matlachowski i Ciecierski obaj z Wydziału Mechanicznego. Oni zainicjowali powstanie jednej z pierwszych zakładowych komisji „Solidarności”. W swoich poglądach byli dość radykalni na tle innych tworzących się komórek „S”, zapewne dlatego znaleźli się na tej pierwszej liście proskrypcyjnej.

Obserwując tę wspaniałą strajkową atmosferę wolności w Szczecinie, kiedy ludzie zrzucali okowy stłamszenia moralnego lat 70-tych, widzieliśmy jak ta wolność rozszerza się dosłownie z dnia na dzień, obiecaliśmy sobie, że jak wrócimy do Opola i zacznie się rok akademicki to założymy studencką organizację niepodległościową. 6 października odbyło się zebranie grupy założycielskiej, na którą rektor chcąc nie chcąc musiał wyrazić zgodę. Przybyło około 600 osób, którzy zaczęli gremialnie wstępować do zrzeszenia. Jako przedstawiciel naszego środowiska pojechałem na zebranie do Wrocławia, potem na zjazd do Krakowa i w efekcie tej aktywności zostałem na WSI przewodniczącym najpierw Komitetu Założycielskiego a potem już wybranego zarządu NZS, a w międzyczasie zostałem wybrany do Krajowej Komisji Organizacyjnej w Krakowie.

– Czy wasza organizacja na WSI miała jakieś wspólne struktury z opolską Wyższą Szkołą Pedagogiczną? Współpracowaliście?

– Tam się to trochę gorzej rozwijało. Dzięki moim osobistym kontaktom z kolegą Zbigniewem Bitką nawiązaliśmy kontakty z grupą ludzi chcących tam utworzyć

„Opolitechnik” – pierwsze pismo opozycyjne w Opolu. Ono miało charakter wybitnie niepodległościowy i antysowiecki natomiast później utworzony „Aneks” – pismo NZS na WSP miał charakter bardziej koncyliacyjny, który wyrażał obawy przed konfrontacją, a wręcz nawet kilkakrotnie polemizował z naszymi publikacjami rzekomo prowokacyjnymi. Np. artykuły na temat orderu Suworowa, rzezi Pragi – historyczne artykuły, które pisał głównie Zbigniew Bereszyński – stanowiły zarzewie konfliktu o historię, o niedrażnienie sowietów itp.

Tak się uatarło, że ten odłam NZS na WSP, któremu miałem przyjemność przewodzić, był odłamek mocno niepodległościowym i radykalnym nawet w skali kraju. Zdarzyło się tak – tu przeskoczę na chwilę do czasów Okrągłego Stołu – cały NZS ogólnokrajowy w r. 1988, parł w tym samym kierunku co część ugodowa „Solidarności” skłonna do zawierania kompromisów z komunistami. Ja wówczas utrzymywałem kontakty z kilkoma kolegami z tzw. prawicy, z którą współpracowałem na forum Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS, ale wówczas te kontakty jakby konspiracyjne z okresu wojny polsko-jaruzelskiej, ożywione na przełomie lat 1988-89 owocowały bardzo przykrymi zderzeniami z taką postawą ze strony kolegów, że oto nie ma wyjścia, że trzeba zasiąść do Okrągłego Stołu, że trzeba wesprzeć tę inicjatywę. Byłem jedyną osobą w Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS, która zdecydowanie przeciwstawiała się wówczas rozmowom okrągłego stołu i zawieraniem jakichś porozumień z komunistami.

– Z czego wynikał u pana opór przeciwko tym porozumieniom?

– Z nieufności do sowietów i tego co oni planują, kombinują oraz wiedzy na temat do jakich prowokacji oni są zdolni. Ocena ta nie wynikała tylko z uprzedzenia opartego o doświadczenie historyczne, choć to było bardzo ważne, ale sama treść i przesłanie tej propozycji porozumienia z komunistami, od razu przedstawiała sobą jawne niebezpieczeństwo uwikłania się w taki system, który przedłuży egzystencję osłabionego różnymi elementami sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej bloku sowieckiego. My niepodległościowcy ocenialiśmy tę sytuację jako nadarzącą się wyjątkową szansę obalenia systemu komunistycznego i pozbawienia wpływu tego reżimu na życie kraju do końca. A układy tego typu, gdzie padały propozycje pozostawienia kluczowych resortów w rękach komunistów, włącznie później z prezydenturą Jaruzelskiego, stanowiły dla nas ewidentne źródło zagrożenia, że ten system przetrwa w innej postaci z całą tą strukturą i zasobami ludzkimi, przeformułowanymi na nową rzeczywistość. I to się rzeczywiście sprawdziło.

– Dzisiaj z perspektywy czasu możemy powiedzieć, że były to słuszne obawy, ale wtedy mało kto chyba widział te zagrożenia?

– To nie prawda, że mało kto. Mało kto tak naprawdę angażował się w jakieś koncepcje ugodowe poza Tymczasową Komisją Krajową, z takimi osobami jak Zbigniew Bujak czy Władysław Frasyniuk na czele. Tak naprawdę do kompromisu już trudno było przekonać tę najbardziej aktywną część społeczeństwa, którą już stan wojenny przekonał, że komunizm jest niereformowalny, że to jest system narzucony siłą i stosujący siłę i zbrodnię, któremu nie można wierzyć. Rezultatem takiej postawy były tworzące się w latach wojny polsko-jaruzelskiej struktury podziemia o politycznym obliczu całkowicie antykomunistycznym i niepodległościowym. W końcówce lat osiemdziesiątych w konspiracji, co miało swój wyraz również w prasie podziemnej zaczęły dominować elementy bardzo radykalne, antykomunistyczne i niepodle-

KANCELARIA
LESTA

Miałeś wypadek? Stała Ci się krzywda?

Należy Ci się odszkodowanie?

**Kancelaria Lesta pomoże w odzyskaniu
należnego odszkodowania, zadośćuczynienia i renty**

Rozpatrzmy każdy przypadek
już wypłaconego lub niewypłaconego
odszkodowania - jeżeli nie minęły
3 lata, a nawet do 10 lat wstecz

ZAJMUJEMY SIĘ:

- odszkodowaniami osobowymi
- odszkodowaniami komunikacyjnymi
- odszkodowaniami rzeczowymi

**DO KLIENTÓW
DOJEŹDZAMY
OSOBISTIE**

**DOCHODZIMY
ODSZKODOWANIA
NAWET, GDY SPRAWCA
JEST NIEZNANY**

40-172 Katowice
ul. Grabowa 2
tel./fax +48 (0) 32 726 49 76

97-400 Bełchatów
ul. Wojska Polskiego 5L
tel. kom. +48 (0) 693 468 705
tel. +48 (0) 44 632 35 52

Kędzierzyn-Koźle
ul. Sienkiewicza 2/I
tel 077 544 92 01

Opole
ul. Krakowska 37
tel 077 544 92 01

www.kancelarialesta.pl
info@kancelarialesta.pl



Foto: A. Klusik

Wiesław Ukleja w więzieniu w Grodowie.

głosiciowe. Tworzyły się i odnawiały partie polityczne, których koncepcje były w zasadzie jedynymi tworzonymi wówczas koncepcjami politycznymi w konspiracji. Odwoływanie się szkieletu organizacji, która została odtworzona w postaci ugodowych działaczy związku zawodowego w ramach krajowej komisji do postulatów odtworzenia związku na jakimś okrojonym poziomie, zupełnie nie odpowiadały oczekiwaniom społecznym i ich wizji przyszłości. Partie polityczne zaczęły wypełniać te wizje i to stało się przyczyną wypowiedzi niektórych partyjnych dygnitarzy, a zwłaszcza sławnego Mieczysława Rakowskiego, który powiedział do swoich towarzyszy, że jeżeli partia tak dalej się będzie ociągała z próbą zawarcia politycznego porozumienia z bardziej ugodowymi działaczami opozycji, to zostanie ona zmieciona przez ulicę. Na ulicy rzeczywiście opinie się bardzo radykalizowały i tu wymienię jedną z fundamentalnych organizacji wówczas – Solidarność Walcząca, która miała swoje bazy jak Wrocław, w których miała głos dominujący. Te antykomunistyczne nastroje były widoczne. Zwolennicy koncepcji ugodowej nie byli widoczni w ogóle nigdzie, przestali oddziaływać na ulicę. Środowiska radykalne i niepodległościowe nie brały pod uwagę tego, że SB negocjuje z nimi potajemnie. Mówi się o tym, że już w 1986 r. odbywały się jakieś tajne spotkania w hotelu „Heweliusz” w Gdańsku, że we Wrocławiu jacyś działacze „Solidarności” jeździli na tajne spotkania z oficerami SB.

– **Wróćmy do Opola, co się wam udało zdziałać?**

– Udało nam się przede wszystkim uruchomić prasę, to była poważna działalność

środowiska solidarnościowe. 3 maja była ogromna manifestacja patriotyczna z mszą, którą celebrował biskup Adamiuk, zgromadziła ona w opolskim amfiteatrze 15 tysięcy uczestników. Biskup wspominał haniebny moment tego miejsca czyli spęd jaki odbył się tam w 1976 r. potępiający warcholów z Ursusa i Radomia.

Udało nam się wprowadzić do normalnego obiegu w środowiskach intelektualnych i naukowych obecność krzyża i religii. To była też inicjatywa naszego NZS WSI – inicjatywa poświęcenia krzyża i powieszenia go w Komitecie Założycielskim. Krzyż ten w kościele Jezuitów przy udziale ojca Czaplaka poświęcił biskup Alfons Nosol. To była bardzo spektakularna inicjatywa. Była masa studentów z obu uczelni. Bardzo mocno to nagłośniliśmy, dzięki czemu obudziło się środowisko katolickie i zaczęto wtedy wydawać w ramach naszego NZS-owskiego wydawnictwa pismo Katolickiego Koła Młodzieży „Katharsis”, które redagował kolega Hubert Kurza, późniejszy burmistrz gminy Leśnica. Po porozumieniach łódzkich w lutym 1981 r. oficjalnie drukowaliśmy „Opolitechnika” w drukarni WSI, na którą SB kilkakrotnie organizowało najścia, gdy ukazywały się jakieś mocniejsze artykuły, np. „Zbrodnica przeszłość półkownika Urantówki”, albo „Biała księga pułkownika Urantówki”, czy „Rewolucja bez rewolucji” mieliśmy próby nalotów i zagarnięcia nakładu przez SB, zawsze udawało mi się w porę uprowadzić nakład.

Pobudziliśmy również do współpracy radiowców z akademika – rozgłosnia „Emisor” publikowała nasze informacje, chociaż formalnie była związana z SZSP, ale

wydawnicza. Udało się zmobilizować sporą grupę studentów do aktywnej pracy. NZS na WSI liczył wówczas blisko 400 członków, na WSP było ich bodaj trochę mniej, ale w strajkach udział brało znacznie więcej studentów. Udało nam się zrealizować wiele inicjatyw o charakterze świadomościowym. Byliśmy inicjatorami obchodów 11 listopada, czy 3 maja w amfiteatrze opolskim do których wciągaliśmy i Zarząd Regionu, i inne

przebijał się tam dość mocno z naszymi materiałami. SZSP było tak słabe w porównaniu z nami, że czasami próbowali się podpiąć pod nasze akcje, a my czasami wykorzystywaliśmy to wypuszczając ich w różne inicjatywy. Tak też zmobilizowaliśmy głosy do przeprowadzenia demokratycznych wyborów do rad wydziałowych a potem do Senatu. Oni do tej akcji się podłączyli, a potem przegrali w wyborach.

– **W 1981 r. skończył pan studia, czy naukowcy nie prześladowali pana za działalność w NSZ?**

– Z tego okresu datuje się prowadzona przez SB sprawa rozpracowywania mnie o kryptonimie „Płotka” – to trawestacja mojego nazwiska – Ukleja – ryba... Dokumenty, które otrzymałem z IPN wskazują, że cały czas SB nad nami sprawowało jakąś kontrolę. Rzeczywiście w 1981 r. broniłem pracy magisterskiej. To zaraz po zakończeniu strajku solidarnościowego po pobiciu działaczy „Solidarności” w Bydgoszczy, jeszcze z opaską strajkową wszedłem do komisji egzaminacyjnej i obroniłem pracę. Z dokumentów IPN wynika, że były pomysły wyrzucenia mnie z uczelni, ale miałem zbyt wysokie oceny. Były próby pozbawienia mnie stypendium fundowanego przez PKS, gdzie zaraz po studiach rozpocząłem pracę. Próbowano tę umowę unieważnić, wówczas wstawił się za mną rektor naszej uczelni, który powiedział, że to jest nieprawne. Poza tym pracownicy naszego wydziału mechanicznego akurat w większości byli działaczami „Solidarności” więc nie było tu klimatu do zwalczania NZS.

Tuż przed stanem wojennym w czasie tzw. solidarnościowego strajku radomskiego w obronie rektora Hebby, którego pracując już w PKS byłem dochodzącym uczestnikiem starałem się pacyfikować nastroje kolegów, którzy nawoływali do strajkowania do oporu. Wtedy wyczuwałem już, że sytuacja zmierza do konfrontacji, czego wyraźnym symptomem była akcja pacyfikacji strajku na Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie, gdzie spektakularnie lądował helikopter z milicyjną grupą antyterrorystyczną. Było zalecenie Komisji Krajowej, które zalecało zakończenie strajku, moralne racje przemawiały za tym by walczyć o słuszną sprawę do końca, podkreśliłem, że to są chwalebne postawy, ale argumentowałem, że nieracjonalne jest wystawianie się na cel w chwili gdy komuniści przygotowują się do konfrontacji i czegoś w rodzaju stanu wyjątkowego. Powiedziałem, że strajk nie przyniesie nic poza wytypowaniem osób do aresztowania. Zaapelowałem o zakończenie strajku i przechodzenie do struktur konspiracyjnych. Ten apel był mocno abstrakcyjny, bo tradycja polskiej konspiracji zakończyła się w la-

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Janusz Kobylinski

Lublin: Manifestacja 3 maja 1982 r.



Foto: Autor nieznan

Gdańsk: zamieszki 3 maja 1982 r.



Foto: Tomasz Guzy

Warszawa: zamieszki 3 maja 1982 r. na Placu Zamkowym.

tach sześćdziesiątych i nikt o tym poważnie nie myślał. Nawet katowicka struktura KPN do której należałem na ostatnią chwilę przygotowywała kontakty i łączność na wypadek stanu wyjątkowego i nie zdążyła. Jeszcze na tym strajku zostałem członkiem honorowym NZZ, bo kończyła się kadencja i nowym przewodniczącym został wybrany Piotr Oleś. Tak się zakończyła moja działalność w NZZ.

– A gdzie pana zastał 13 grudnia?

– Stan Wojenny zastał mnie w Katowicach. 12 grudnia wieczorem mimo już stojącego kordonu udało mi się, razem z moim zastępcą w strukturach KPN Jackiem Szumańskim z Nysy, wyjechać z Zarządu Regionu „S” w Katowicach przy ul. Francuskiej, gdzie odbyło się zebranie KPN, które przygotowywało strukturę do spodziewanego na dzień 20 grudnia wprowadzenia stanu wyjątkowego. Nocowaliśmy u mojej siostry w Sosnowcu i rano dowiedzieliśmy się, że wprowadzono stan wojenny. Zgodnie z instrukcją KPN, która zalecała strajkowanie w zakładach pracy i nawiązywanie kontaktów, tworzenie sieci informacyjnej między strajkującymi zakładami pracy, najpierw zastanawialiśmy się czy nie zostać i próbować działać w tamtej okolicy, ale w końcu wróciliśmy pociągami do Opola. Poszedłem do biurowca PKS-u przy ul. Rodziewiczówny w Opolu, gdzie miała siedzibę komisja zakładowa „S”. Tam natknąłem się na grupę operacyjną w zielonych mundurach, która była na tyle zaskoczona, że mnie nie próbowała zatrzymać. Przebiegłem na teren zakładu, gdzie próbowałem zmontować jakąś grupę do strajku. Gdy po paru godzinach okazało się, że wszyscy są przerażeni i nie ma mowy o żadnym strajku, zacząłem się zastanawiać gdzie by się ukryć. Moja siostra, która towarzyszyła nam w powrotnej drodze do Opola, była poinformowana o moich próbach rozpoczęcia strajku w PKS-ie, próbowała mnie ułokować w katedrze lub kościele Franciszkanów. W obu miejscach odmówiono. Postanowiłem się wydostać z pilnowanego przez wojsko zakładu, więc ukryłem się na tylnym siedzeniu autobusu jadącego do dworca przy ul. 1 Maja. Okazało się, że to ukrycie nie było skuteczne, bo na dworcu czekał już samochód z esbekami, którzy zaczęli mnie śledzić. Po dłuższym lawirowaniu po mieście postanowiłem wrócić do domu by poradzić się z rodzicami, przez telefon siostra powiedziała, że esbeków tu nie ma, ale ledwo przekroczyłem próg wpadł oddział z bronią w polowych mundurach, na czele którego stał oficer SB niejaki Jakubaszek, znany mi wcześniej z okresu Festiwalu Solidarności, kiedy byłem często zatrzymywany i przesłuchiwany. Ta grupa nie dawszy mi nawet pożegnać się z rodzicami odstawiła mnie na komendę MO, skąd po krótkiej odsiadce przewieziono mnie do aresztu na ul. Sądową, a stamtąd 8 stycznia do Nysy, a stamtąd 30 lipca do Grodkowa, gdzie przebywałem 16 dni. Stamtąd w grupie 51 osób, wśród których był m.in. Janusz Sanocki z Nysy, zostaliśmy karnie przewiezieni do Uherc w Bieszczadach. Tam przesiedziałem do 10 grudnia, kiedy to zostaliśmy z Januszem Sanockim wypuszczeni z internowania jako ostatnie osoby z województwa opolskiego.

– Rozumiem, że wrócił pan do Opola, gdzie PKS pana zwolnił i co dalej?

– PKS zwolnił mnie zgodnie z prawem stanu wojennego już 14 grudnia. Złożono fałszywe zeznania, że nie stawiałem się do pracy. Później w 1983 r. wygrałem z nimi sprawę w Sądzie Pracy, dlatego, że sędzią okazała się być znaną solidarnościową działaczką pani Alicja Nabzdyk, która dziś prowadzi sprawy prawne „Solidarności”. Ona doprowadziła do ujawnienia bezczelnych mactw świadków, m.in. jednego agenta bezpieki, który składał fałszywe zeznania przed sądem. Do pracy nie można mnie było przywrócić do pracy bo PKS był zakładem zmilitaryzowanym.

Szukałem pracy w wielu miejscach ale

bezpieka miała wgląd do listy zakładów pracy poszukujących pracowników z wyższym wykształceniem mechanicznym i najczęściej się tak zdarzało, że dyrektor mnie informował, że chętnie by mnie zatrudnił, ale ma tu taką listę, na której figuruję i jak mnie zatrudni to przyjdą do niego za dzień lub dwa i każą mnie zwolnić albo on wyłeci z pracy. Chwyciłem się podstępny – zostałem pracownikiem nie ujawniając wyższego wykształcenia, jako gryziopiórek do spraw rozliczeń paliwowo-smarowniczych w Zakładzie Transportu i Sprzętu Budowlanego przy ul. Głogowskiej. Jeździłem do tej pracy przez dwa tygodnie „kanałami”, co rano uciekając przed stojącymi pod moim domem szpicłami, których gubiłem w mieście. Wówczas obowiązywały takie przepisy prawa pracy, że w ciągu pierwszych dwóch tygodni można było zwolnić pracownika bez podania przyczyny, a potem już nie, bo system komunistyczny chronił pracownika, jak dzisiaj nikt tego nie robi. W każdym razie jakiś szkielet prawa funkcjonował i nie mogli mnie zwolnić. Wiem dziś z dokumentów IPN, że próbowano wyrzucić na dyktando tego zakładu presję, by mnie zwolnić, ale obwieścił im, że nie ma takiego prawa, ale zrobili z niego TW i donosili na mnie przez cały okres mojego pobytu w tym zakładzie czyli do 1990 r.

– Zapewne podjął pan też jakąś działalność konspiracyjną...

– No oczywiście, ale trudno tu mówić w tym czasie o jakichś strukturach. Współpraca z Solidarnością Walczącą czy KPN-em opierała się na osobistych kontaktach z kolegami z Wrocławia czy bardziej z Adamem Słomką z Katowic i czasopiśmem „Wolny Czyn”. Między Katowicami a Wrocławiem krążył wówczas dziś już nieżyjący Tomasz Waćko, który kontaktował mnie z ludźmi z Wrocławia i Katowic przewoząc bibułę i będąc jednocześnie pośrednikiem, za pomocą którego ja wysyłałem nasze opolskie wydawnictwa. Przede wszystkim jednak po wyjściu z internowania natychmiast nawiązałem kontakt z Zbigniewem Bereszyńskim, który wyszedł z internowania dwa miesiące wcześniej i miał już rozeznanie w środowisku i w tym co się dzieje. Znowu trwalimy w opozycyjnym duchu, m.in. sam drukowałem kilka wydawnictw: „Między Solidarnością a niepodległością”, wydaliśmy książkę „Piłsudzczy” Kadena-Bandrowskiego przy pomocy matrycy wykonanych we Wrocławiu na zlecenie Janusza Karpala, który przy tej akcji współpracował. Przy jego pomocy udało nam się odzyskać maszynę, która o mało nie wpadła w ręce bezpieki, bo pisała na niej agentka SB, pracownica Urzędu Wojewódzkiego. Esbekom udało się ją podstawić naszemu koledze z KPN-u Leszkowi Pekowi, który tam był zatrudniony (w UW – red.). Poza moją wiedzą zlecono pisanie tekstów tej osobie, później po wyrwaniu tej maszyny, musiałem to osobiście kończyć. Funkcjonariusze mieli już namierzoną tą maszynę w mieszkaniu przy ul. Sądowej, gdzie ta agentka mieszkała. Z Januszem Karpalą zrobiliśmy taki manewr, że w niedzielę, kiedy żadne samochody nie jeździły, zabraliśmy maszynę do jego samochodu i pojechaliśmy spokojnie ulicą Budowlanych, Harcerską, Luboszycką, oddalając się coraz bardziej od śledzących nas dwóch esbeckich pojazdów, które nie chcą zwracać naszej uwagi w takim pustkowiu zwiększały dystans. Na zakręcie na dzisiejszej ul. Pużaka Janusz dodał gazu i za krętem wyrzuciliśmy walizkę z maszyną koledze, który tam czekał i zabrał ją w bezpieczne miejsce, a my popędziliśmy aż do ul. Kośnego, gdzie zaparkowaliśmy puste auto. Z tego co wiem bezpieka zrobiła wtedy wielką akcję przeszukiwania piwnic na ZWM-

ie. Na następny dzień SB wezwało Janusza Karpalę, bo mnie już nie wzywali, wiedzieli, że jestem odporny na ich gierki, zapytała Janusza czy zna Leszka Peka, a on im odpowiedział: „Tego Peka z telewizji? Gregorego Peka?” Już później osoba, która znała oficera dowodzącego grupą inwigilującą mnie, niejakiego Misiaka, został on odsunięty od sprawy i zdegradowany za stracenie z ocz tej maszyny.

W 1986 r. trąfiałem do Tymczasowej Rady Regionalnej, z której wypisałem się już po miesiącu, gdy zorientowałem się, że nie ma ona zamiaru podejmować żadnej konkretnej działalności, a tym bardziej politycznej, do czego usiłowałem jej członków namawiać. Ta rada została powołana do życia w Opolu z niegłupiej inspiracji Janusza Sanockiego, a w jej skład weszły m.in. takie osoby jak Jan Całka, Roman Kirstein, Jerzy Gnieciak i inni znani działacze. Ja jako tylko członek „Solidarności” ale znany z działalności w NZZ-ie czyli reprezentujący pewien ethos przed stanem wojennym. Zaczęłem inspirować różne przedsięwzięcia, jak założenie konspiracyjnej gazety, pisanie jakichś oświadczeń politycznych, na co członkowie rady nie wyrazili zgody, a szczególnie nie chcieli się zgodzić na rozszerzenia składu rady o nowe formacje tworzące się



w podziemiu. Pomimo, że sama rada stanowiła już coś więcej niż tylko NSZZ „S”, bo Gnieciak reprezentował „S” Rolników Indywidualnych, był też ktoś z rzemieślników i ja ze studentów, a więc można powiedzieć, że była swego rodzaju ruchem. Tymczasem w stanie wojennym pojawiły się nowe organizacje, które w latach 1980-81 były zbyt młode by należeć do „Solidarności”. Przekonywałem, że jako aktywnych uczestników podziemia trzeba ich włączyć do współpracy, ale bezskutecznie. Na tzw. konspiracyjne spotkanie tej rady przyjechał Józef Pinior i ja wygłosiłem tam mowę, związaną z koncepcją podejmowania przez radę i inne rady oraz Krajową Komisję, która stała na czele tego ruchu, działań o charakterze politycznym. Stwierdziłem, że sytuacja zmierza do planowanego rozpadu bloku sowieckiego, który będzie stanowił element przetargu politycznego, np. Rosjanie będą grali kartą zjednoczenia Niemiec. Ja to już mówiłem w 1986 r. i wszyscy słuchali mnie ze zdziwieniem, zwłaszcza Pinior. Propnowałem, aby Rada Krajowa przygotowywała się do aktywności na arenie międzynarodowej, a my tu w Opolu zajmujemy się sprawą praw mniejszości niemieckiej, która na pewno się tu pojawi w momencie odzyskania niepodległości, w zamian za cenę wspierania przez rząd NRF niepodległościowych dążeń Polaków. Powiedziałem: „jeżeli my tego nie zrobimy, nie będziemy próbować jakoś grać tymi elementami polityki międzynarodowej, to zrobią to za nas sowieci.” Ta moja mowa została przyjęta uznaniem mnie za szaleńca i człowieka niepotrzebnie brudzącego w gronie, które ma się zajmować jedynie sprawami związkowymi.

Pytał Bolesław BEZEG

MARIA WOJTCZAK: WSPOMNIENIE BARDZO OSOBISTE

W objęciach dekretu

Niedziela. Wczoraj przyjechała z Wrocławia Hania. Pewno było długie nocne gadanie, stąd opóźnione wstawanie i poranne opieszalności. Włączam telewizor. Pierwsze informacje stawiają nas na nogi. Ogłoszono stan wojenny. Władzę przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Zakazano działalności związków zawodowych. Władze Solidarności aresztowano. Spiker czyta dekret o stanie wojennym: o zakazach, nakazach, ograniczeniach i karach. Każdy paragraf kończył się informacją o zagrożeniu karą więzienia od lat 2 do... I tak będzie przez cały okrągły dzień.

Spiker informuje, że władzę przejęło WRON, nad bezpieczeństwem kraju czuwają zmilitaryzowane oddziały: wojsko, MO, ZOMO. Pełne zaskoczenie, dezorganizacja i strach. Co robić? Telefon wyłączony, z nikim nie ma kontaktu.

Małgosia (studentka politechniki) nie przyjechała na weekend do domu. Nie wiadomo, co się dzieje na uczelni. Dla wzmocnienia sił militarnych w szeregach LWP powołuje się rezerwistów. Zięć, jak każdy w owym czasie absolwent wyższej uczelni, z obowiązującym wojskowym przeszkoleniem, z automatu należał do rezerwy LWP. Nie wiadomo, czy jest w domu, czy został zmobilizowany? Telefon nadal głuchy. Córka postanawia wracać do Wrocławia. Odprowadzam ją na dworzec, aby mieć pewność, że pociągi kursują. Odjechała. W drodze powrotnej załatwiam wcześniejszą uzgodnioną wizytę domową u pacjentki, a przy okazji zaglądam do naszej solidarnościowej siedziby na ulicy Hanki Sawickiej. Jest cicho i głucho, nie ma nikogo. Na ulicach pusto.

Wracam do domu. Też pustego i bez życia. Z telewizora, jedyne kontakty ze światem, wieje grozą. Tak sam na sam z wojenną agresją propagandy telewizyjnej pozostaję do następnego ranka.

Nie sposób to przerwać. Całkowity paraliż woli i chęci do jakiegokolwiek aktywności. Tylko kłębiące się w głowie myśli i pytania. Co się stało? Co dalej? Na tamtą chwilę odpowiedzi żadnej znaleźć nie mogłam. Cały okres stanu wojennego jawi mi się dziś jak noc przedłużona na miesiące i lata, w czasie której jak w koszmarnym śnie przeplatają się ze sobą zdarzenia złe i dobre, jasne i ciemne, a wszystkie bez udziału woli i możliwości kierowania ich biegiem. I lęk. Brał się z poczucia osaczenia, braku informacji o najbliższych, bezsilności. Pogłębiała go wiedza historyczna i osobiste doświadczenia z okresu II wojny światowej i czasów stalinowskich w PRL, które nie oszczędzały mojego pokolenia. Trzeba było trochę czasu, by ten lęk opanować i ośwoić, by żyć i pracować. Ale powracał wielokrotnie wraz ze złymi wieściami. Tych nie brakowało.

W Solidarności

Na etacie pracowałam w przyszpitalnej poradni internistycznej na samodzielny stanowisku z jednoosobową obsadą lekarza specjalisty. Pozaetatowo przewodniczyłam Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność Pracowników Służby Zdrowia ZOZ w Brzegu. Znakomita większość pracowników służby zdrowia zadeklarowała swoją przynależność do Solidarności. Łącznie z pododdziałem ZOZ-u grodzkowskiego organizacja liczyła około 1.000 osób i stanowiła znaczną siłę w strukturach regionalnych Związku, stąd ale też i z powodu specyfiki zawodowej, wynikało moje uczestnictwo we władzach Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej Ziemi Brzeskiej.

Zadań i obowiązków związkowych było bardzo dużo. Bieg zdarzeń narzucał takie tempo, że graniczyło to z możliwością

mi wykonania. Ktoś, kto nazwał ten okres „karnawałem Solidarności” rozminął się zupełnie z oceną rzeczywistej sytuacji. W moim doświadczeniu nie było w tym okresie nic z karnawałowej radości i urody życia. To była trudna, ciężka praca przy rosnącym oczekiwaniu społecznym na zapowiadane zmiany. A w obszarze zakładu pracy na poprawę warunków płacowych i elementarnych potrzeb związanych z usługą dla chorych. Niedostatki za-

W pracy

Poniedziałek, pierwszy roboczy dzień w stanie wojennym, rozpoczął się od przetasowań organizacyjnych. Z poradni internistycznej zostałam oddelegowana na dyżury w pogotowiu ratunkowym i szpitalnej izbie przyjęć. Nie dlatego, że brakowało obsady, czy zwiększyły się potrzeby na tym odcinku. To była decyzja anonimowych władz stanu wojennego. Ze zdzi-



Jedna z nielicznych jasnych chwil stanu wojennego – roczna Madzia została uroczystie przyjęta do Solidarności jako członek nr 10.000.001.

opatrzania występowały w każdej dziedzinie: leków, sprzętu, narzędzi, środków opatrunkowych i czystościowych, produktów żywieniowych. Wszystko było reglamentowane i wydzielane według rozdzielnika, bez uwzględniania aktualnych potrzeb. Dobrze taką sytuację ilustruje awantura o przydział gipsu opatrunkowego dla oddziału ortopedycznego w okresie zwiększonej urazowości zimowej. Awanturę zażegnano dzięki solidarnościowej pomocy ZOZ-u olawskiego. Od strony władzy żadnej pomocy nie było.

Z dzisiejszego punktu widzenia warunki pracy służby zdrowia w owym czasie urągają wszelkim zasadom, wymogom i przepisom dotyczącym ochrony zdrowia ludności. Patrząc na sprawy w tym kontekście nie trudno zrozumieć dlaczego buzowały nastroje niezadowolenia i buntu. Także w służbie zdrowia, ale nie planowano i nie organizowano strajków ze względu na bezpieczeństwo chorych. Wyrazem sprzeciwu była gotowość wspierania strajkujących i pomocy poszkodowanym, co w stanie wojennym owocowało dużym zaangażowaniem mimo formalnej delegalizacji Związku.

wieniem, ale też bez protestu propozycję przyjął, traktując to jako jeden ze sposobów kontroli i nadzoru nad „elementem zagrażającym władzy ludowej”. Jak na stan wojenny rozstrzygnięcie iście saloonowe. Dolegliwość z tego powodu była niewielka w porównaniu z informacjami, jakie płynęły z miasta i z kraju o brutalności, szykanach i represjach stosowanych wobec Solidarności i jej działaczy. Zsyłka nie trwała zresztą długo. Po kilku dniach wróciłam do pracy w poradni internistycznej.

Druga decyzja władzy wojennej tego ponurego dnia, to zamknięcie siedziby Komisji Zakładowej z zakazem organizowania spotkań. Formalnie nakaz likwidacji Solidarności w ZOZ-ie brzeskim realizował wicedyrektor ds. administracyjnych Józef Żmijewski. Ze strony Komisji mnie towarzyszyli wiceprzewodniczący: p. Anna Kalusińska i Ryszard Małecki. Niczego nie dokumentowano. Podstawa prawna była powszechnie znana. Pozwolono nam zabrać rzeczy własne. Zabraliśmy więc pieczęć związkową, deklaracje członkowskie, protokoły zebrania, dokumenty działalności związkowej. Pozostało sporo literatu-

ry drugiego obiegu i stary powielacz ręczny, który służył nam do powielania ulotek i druków związkowych, parę nieważnych drobiazgów. Wszystko odbyło się w atmosferze wzajemnego zrozumienia odmienności ról i obowiązków stron. Biuro zostało zamknięte. Drzwi zaplombowane. Już do niego nie wróciliśmy.

W tym momencie trudno się było otrząsnąć z tego ponurego nastroju, tym bardziej że ze strony pracowników nie było żadnych przejawów zainteresowania stanem i dalszym losem ich Związku. I choć po latach mogę stwierdzić, że ta diagnoza nie była trafna, to na tamten czas pozostało przygnębiające pytanie: czy warto było?

Nurty podziemne

Powoli mijał szok wywołany twardym zderzeniem z realiami stanu wojennego. Zaczęliśmy się odnajdować w nowych warunkach, lepiej poznawać i właściwie odczytywać nasze intencje i motywacje. Byli tacy, którzy szybko zmienili front i włączyli się w oficjalny nurt ocalenia władzy ludowej i odbudowy na nowo starego związku zawodowego pracowników służby zdrowia. Wygasał entuzjazm i wiara w skuteczność działań związkowych w ogóle.

Z miasta i kraju, przez kontakty osobiste i telewizję napływały dramatyczne wieści o szykanach wobec działaczy Solidarności, tragediach ludzi i rodzin, o próbach znawiania działalności związkowej. To wyzawało, jakby z natury wpisaną w zawód służby zdrowia, potrzebę wyjścia z pomocą poszkodowanym. A zatem przełamania bierności i strachu.

Pierwsze kontakty powstawały poprzez więzi rodzinne i przyjacielskie. Z czasem rozszerzane na dalsze i nowe grona zapoczątkowały nowy nurt Solidarności podziemnej z bogactwem form i środków wyrazu obejmujących niemal wszystkie dziedziny życia. Warto o nich wspomnieć, bo stanowiły autentyczną tkankę życia społecznego ludzi wolnych i niepokornych.

W moim kręgu i jego bliskości

Chwilę zadumy chciałabym poświęcić moim współpracownikom Komisji Zakładowej, nieżyjącym już moim zastępcom, p. Annie Kalusińskiej i Ryszardowi Małeckiemu, ludziom bardzo oddanym sprawie Solidarności, którzy nie zawiedli nawet w najtrudniejszych dniach opresji antysolidarnościowej.

Pani Anna, z zawodu położna, była kierowniczką miejskiego żłobka, który podlegał służbie zdrowia. Sama w wieku już przedemerytalnym w Solidarności prze-

jęła sprawy organizacyjne i społeczne. Sprawnie zorganizowała pracę sekretariatu Komisji zakładowej. Mądrze i z rozwagą rozwiązywała piętrzące się problemy społeczne. Była bezcenną pomocą w pracach związkowych i dużym wsparciem w stanie wojennym. Mądra, dobra, o ciepłym usposobieniu, towarzyszyła w dobrej i złej doli.

Rysiek Małeckie – technik stomatologii. Wspaniały chłopak! Trochę zawadiaka. Miał szczególny dar rozładowywania nerwowego napięcia, łagodzenia stresu. Zawsze pogodny, życzliwy, otwarty i odważny. Tak go zapamiętałam. Mieszkał na wsi, a dom dla solidarnościowej braci miał zawsze otwarty. W stanie wojennym wydawał się być ostoją bezpieczeństwa. Tam więc niejednokrotnie działały się sprawy zagrożone sankcjami dekretu wojennego. Duże ryzyko. Ale taki był Rysiek. Wtedy miał szczęście. Wiele lat później powaliła go nieuleczalna choroba. Przedwcześnie odszedł od nas na zawsze.

U Małeckich odbywały się też spotkania z udziałem większej liczby osób, na których dyskutowano o problemach Solidarności, dzielono się informacją, zacieśniało więzi. Dziś określa się je jako integracyjne, wtedy ta nazwa nie była w użyciu. Dla kamuflażu wybierano, lub wymyślano rodzinne uroczystości.

Jednym z pretekstów do takiego spotkania były pierwsze urodziny najmłodszej córki Ali i Ryśka Małeckich Madzi. Madzia została uroczystość przyjęta do Solidarności jako 10.000.001 członek, a legitymacją była odpowiednia dekoracja na urodzinowym torcie.

To były nieliczne jaśniejsze momenty stanu wojennego. Chcieliśmy wierzyć, że Solidarność żyje i pozostanie wielką siłą społeczną. Poszukiwaliśmy własnego wyrazu życia niezależnego od warunków, jakie stworzyła władza. Rodziła się potrzeba rozszerzania kontaktów, korzystania z doświadczeń innych, utrwalania zdażeń, żeby nie przeminęły bez echa. Przykładem był rękopis dzienniczka p. Czesława Wilanda, internowanego członka Solidarności z Agrometu, w którym z pozoru drobne fakty mijającego czasu, w warunkach internowania nabierały pewnej symboliki i były pasjonującą lekturą.

Narodziny Prostownika – pierwszej gazetki Solidarności podziemnej nabierającej kształtów organizacyjnych były bliskie realizacji. Pierwsze spotkania redakcji odbywały się u mnie. Inspiracja wyszła od Anny Fastnacht-Stupnickiej, wówczas redaktorki Trybuny Opolskiej i Henryka Mazurkiewicza polonisty w ŁO w Brzegu. Oni mieli pomysł, wiedzieli jak i jakie treści chcą przekazywać. Nazwę Prostownik podsunęli nam studenci. Oni na znak oporu przypinali sobie do ubrań opor-

niki elektryczne. My na znak sprzeciwu chcieliśmy prostować fałszerstwa stanu wojennego. Tak się nam marzyło. Efekty trudno ocenić obiektywnie, bo działo się to jednak w podziemiu. Nie pamiętam ile było tych wstępnych spotkań redakcyjnych. Chyba niewiele. Wkrótce zadanie przejął Henryk Mazurkiewicz. Moje uczestnictwo było raczej bierne, jak akuszerki przy porodzie. Było jeszcze dużo innych potrzeb do załatwienia. Dużo ludzi pozostawało w internatach bądź więzieniach. Oni i ich rodziny potrzebowały pomocy i wsparcia.

Koszmar powraca

Pod koniec lutego 1983 r. Małgorzata przywozi z Wrocławia porażającą informację. Hania została zatrzymana przez esbecję. I nic więcej nie wiadomo. Gdzie? Kiedy? Z jakiego powodu? Nic. W domu przeprowadzono rewizję ale bez jej obecności. Domniemanie, że zdarzyło się to poza domem. W pracy? Na ulicy? W jakiejś akcji? W stanie wojennym nawet rodzina nie zawsze wiedziała o uczestnictwie w akcjach oporu. Taka była zasada.

W następnym dniu nie ma żadnego kontaktu, ani żadnej wiadomości gdzie jest. W areszcie informują, że została zwolniona. Ale nie ma jej w domu, ani w pracy, ani u rodziny, ani u znajomych. Minęła doba na poszukiwaniach bez efektu. Rośnie bezradność i strach. Człowiek zginął bez wieści. Co się mogło stać? Wracamy do aresztu. Odsyłają do prokuratora. Dowiadujemy się, że została aresztowana z paragrafu itd... Mała ulga, ale jest. Żyje. Nie zginęła.

To był cios powalający. Byłam przygotowana psychicznie na ewentualne szykany wobec mojej osoby. Mnie to ominęło. Nie udźwignęłam ciężaru wynikającego z aresztowania córki. Nie obchodziły mnie inne sprawy. Mieszkalam u niej w oczekiwaniu na jakąkolwiek wiadomość z kryminału. Mogłam podejmować tylko próby działania w kierunku jej uwolnienia, ale były bezskuteczne. A z perspektywy czasu oceniając uznać trzeba, że wszystkie wysiłki pozbawione były racjonalnego sensu. Łagodziły nieco negatywne emocje, gdy były wspierane ludzką życzliwością. Tej doznałam dużo. Ale w zderzeniu z niepraworządnością stanu wojennego emocji dotkliwych i upokarzających było znacznie więcej. I mimo, że minęło 30 lat, w pamięci tkwią jak drzazga. Tego zła nie można zapomnieć, ani ośwoić, ani zaakceptować. Zawsze budzi sprzeciw. Ale nie wyzwala chęci odwetu. W tym odnajduję siłę społecznej akceptacji w czasach pojedynczego człowiekowi nieprzychylnych.

Maria Wojtczak

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Internowani w Białogłę. Pod okiem czujnych strażników.



Internowani w Białogłę. Posiłek.



Internowani w Białogłę. Na spaceru.

EPILOG

30 lat zapóźnień

Dawnych działaczy „Solidarności” skupionych w Opolskim Stowarzyszeniu Pamięci Narodowej namówiliśmy na dyskusję o stanie wojennym. Początkowo nie chcieli: „tyle już wszędzie o tym mówiliśmy, jaki sens ma wracanie do tej kłęski?” – pytali. W końcu jednak dyskusja popłynęła szeroką rzeką. Siłą rzeczy przytaczamy tylko fragmenty.



Foto: A. Klusik

Jerzy Łysiak w nyskim „Internacie”.

– Co by było gdyby nie było stanu wojennego?

Jerzy Łysiak: – Wtedy mówiłem, że stan wojenny zatrzymał rozwój Polski o 10 lat. Od początku ten temat był dyskutowany, poczynawszy od sankcji gospodarczych jakie Reagan wprowadził na PRL. Teraz mówię, że to nie 10 lat. Po prostu byłaby inna Polska. Rzeczywiście ten naród się wtedy bardzo wzniosł, napełniła go olbrzymia euforia i można było to pociągnąć, wykorzystać do rozwoju.

Antoni Klusik: – Przede wszystkim wygnano na emigrację około miliona młodych, aktywnych, pełnych pomysłów, najbardziej wartościowych Polaków. Sądzę, że stan wojenny w efektach gospodarczych kosztował nas prawdopodobnie porównywalnie tyle co II wojna światowa. Dziś prawdopodobnie Polska byłaby regionalnym mocarstwem, a Niemcy prawdopodobnie nie miały by w Europie takiego znaczenia jak obecnie. Rosja prawdopodobnie po upadku ZSRR nie odrodziłaby się jako mocarstwo, jak to teraz ma miejsce.

– Czy aż tak moglibyśmy ich szachować?

J.Ł.: – Myślę, że tak, mieliśmy zorganizowane

spółdzielnie, które obsługiwały telefonistki należące do „Solidarności”. Te maszyny nigdy wcześniej nie były używane. Komuniści je założyli nie wiadomo po co i dopiero „S” ich użyła w sposób nadzwyczaj skuteczny. Oczywiście dziś to śmieszna sprawa, ale wtedy był to nowoczesny, nieużywany środek komunikacji. Chce przez to powiedzieć, że związek potrafił wykorzystać te narzędzia ponieważ należeli do niego młodzi dobrze wykształceni ludzie, którzy natychmiast wszędzie w poszczególnych sprawach zaczęli „S” doskonale organizować. Związek przejmował sprawy gospodarcze, jak rozdział żywności itd. Gdyby ten rozwój organizacyjny nie został zahamowany, to ten kraj byłby innym krajem. Mnie się wtedy wyda-

Antoni Klusik: – Stan wojenny wygnał na emigrację około miliona młodych, aktywnych, pełnych pomysłów, najbardziej wartościowych Polaków.

wało, że stan wojenny zatrzymał nas w rozwoju na 10 lat, ale dziś to jest 30 lat. Polska przedwojenna, w okresie dwudziestolecia, ale w istocie było to osiemnastolecie, zaczęła w sytuacji, że nie było nawet wspólnego języka. Nie było prawa, pracy, pieniądza, niczego. W ciągu 20 lat ten naród stworzył taki dobrobyt, stopień zorganizowania, że do tej pory odwołujemy się do dwudziestolecia międzywojennego. Dzisiaj mamy 30 lat po wojnie i co myśmy w ciągu tych 30 lat osiągnęli? Owszem, bruki, rzeczywiście już się nie łamie nóg na drodze i ładne elewa-

cje, ale nie wszędzie.

A.K.: – A gdzie się podziało zorganizowanie i świadomość społeczna, inżynierowie, produkcja... Przede wszystkim przestaliśmy być producentem.

Jacek Bezeg: – Wtedy naród szedł w górę, ludzie się wznosili, rozwijali. Jak im wtedy przetrzącono kręgosłup, to do dzisiaj się nie podnieśli. I dalej spadają...

– Dziś wielu ludzi mówi, że „S” tak rozkwitła bo pojawił się Jan Paweł II. Czy wy wtedy czuliście to?

J.Ł.: – Pewnie! I to jest prawda! Napisałem o tym artykuł w „Tygodniowce” pt. „Kto to wszystko zrobił?”. Przyjechał Jan Paweł II do Polski i ludzie się wtedy policzyli. Zobaczyli ilu ich jest. Pan Bóg to wszystko ustawił: najpierw był JP II a potem „S”, a nie na odwrót. To następstwo spowodowało taki ciąg zdarzeń.

J.B.: – Bez Jana Pawła II na pewno nie byłoby „Solidarności” dlatego zamach na niego to był zamach na „Solidarność” i na Polskę.

– Czy z waszego środowiska, internowanych działaczy „Pierwszej Solidarności” ktoś wszedł do odnowionego po 1988 r. związku?

A.K.: – Z tych internowanych tylko jeden Janusz Sanocki próbował, ale go bardzo szybko wypuili.



Foto: A. Klusik

Antoni Klusik – autoportret w więzieniu w Nysie.

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Stanisław Markowski

Nowa Huta: zamieszki 3 maja 1982 r.



Foto: Stanisław Markowski

Nowa Huta: zamieszki 3 maja 1982 r. Milicjant strzela z rakiety do stojącego na balkonie fotoreportera, który to zdjęcie przypłacił rozległymi poparzeniami.



Foto: Autor nieznany

Warszawa: zamieszki 1 maja 1982 r. na Placu Zamkowym.

J.Ł.: – Działalność i ciągle jest w tej strukturze Tadeusz Ryśnik.

A.K.: – Ale on działał w tej bardziej związkowej strukturze, a nie politycznej. Trzeba sobie uświadomić, że wtedy działacz „S” to było zupełnie co innego niż dzisiaj.

J.Ł.: – No i jeszcze Całka, ale Całka nigdy nie był żadnym czołowym działaczem „S”, ale on jeden został z dawnej ekipy. Wszyscy, którzy tworzyli tę nową „Solidarność” na Opolszczyźnie to byli inni ludzie i w związku z tym ta „Solidarność” była inna. Każdego 13 przychodzą do katedry na te msze za ojczyznę, które zaczął kiedyś odprawiać ś.p. ksiądz Stefan Baldy, ale oni nawet chyba nie czują o co wtedy chodziło.

A.K.: – Oni nas nawet nie kojarzą. Kiedyś żeby sobie załatwić rentę potrzebowałem dokumentów z dawnych zakładów pracy. Przyszedłem do Zarządu Regionu, podaję nazwisko, a ta sekretarka pyta mnie: „A kiedy pan pracował w Solidarności?” Ja mówię:



Foto: BIZ

Jerzy Łysiak, prezes OSPN. W 1968 uczestnik demonstracji studenckich w Lublinie. Redaktor tygodnika „Za i Przeciw”, 1971–1975 radny Wojewódzkiej Rady Narodowej, 1972–1984 pracownik Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego, gdzie był wiceprzewodniczącym „S”, a także redaktorem naczelnym „Tygodniówki Solidarności w WPHW”. Członek Zarządu Regionu Śląsk Opolski, delegat na I Zjazd „Solidarności”, współautor programu Rzeczpospolita Solidarna, działacz struktur branżowych „S” – członek Zarządu KKP „S” Pracowników Handlu Państwowego. Internowany w Ośrodkach Odosobnienia w Opolu, Strzelcach Opolskich i w Nysie.

Posłanie Pierwszego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” do ludzi pracy Europy Wschodniej

Delegaci zebrani w Gdańsku na I Zjeździe Delegatów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” przesyłają robotnikom Albanii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Rumunii, Węgier i wszystkich narodów Związku Radzieckiego – pozdrowienia i wyrazy poparcia.

Jako pierwszy, niezależny związek zawodowy w naszej powojennej historii głęboko czujemy wspólnotę naszych losów. Zapewniamy, że wbrew kłamstwom szerzonym w waszych krajach, jesteśmy autentyczną, 10-milionową organizacją pracowników, powołaną w wyniku robotniczych strajków. Naszym celem jest walka o poprawę bytu wszystkich ludzi pracy. Popieramy tych z was, którzy zdecydowali się wejść na trudną drogę walki o wolny ruch związkowy. Wierzymy, że już niedługo wasi i nasi przedstawiciele będą się mogli spotkać celem wymiany związkowych doświadczeń.

„20 lat temu”, a ona na to: „Ale wtedy Solidarności nie było”.

J.Ł.: – Na uroczystości 30-lecia „Solidarności” dostaliśmy zaproszenia od Marszałka Sebesty. A dlaczego od niego? No bo te „krasnowłochy” w Zarządzie Regionu nawet nie prowadzą żadnego rejestru dawnych władz i członków. Gdzieś tam pogubili nasze dane...

J.B.: – Po prostu teraz to jest związek zawodowy, a wtedy to był ruch społeczny. Tamta „S” powstawała oddolnie, ludzie chcieli, żeby coś takiego istniało, odczuwali potrzebę i kiedy coś takiego się pokazało to się do tego każdy rwał. „S” była okazją, żeby się zapisać do czegoś co jest antykomunistyczne i legalne. A przy okazji walczone o sprawy pracownicze. A w 1988 założono związek nie oddolnie, ale odgórnie, bo ktoś uznał, że trzeba coś takiego zrobić.

J.Ł.: – Nie można tak mówić, nie chodzi nam o to przecież żeby kogoś obrażać. Związek zawodowy to jest ruch korporacyjny ze wszystkimi wiążącymi się z tym plusami i minusami.

A.K.: – Trzeba też pamiętać, że wtedy wydawało się nam, że wróg jest jeden i cały naród się jednoczy w opozycji do tego wroga. To był wyjątkowy moment historyczny, ten ruch był czym innym i związek był czym innym, tego się nie da powtórzyć, i to jest jasne.

J.Ł.: – W ramach tej naszej „S” był też pion branżowy i ja nawet byłem w krajowych władzach branżowego pionu handlowców. Ci moi koledzy z tej „Solidarności” branżowej to byli inni ludzie, mieli inne cele, starali się załatwiać sprawy pracownicze.

A.K.: – Wtedy związek przyciągał wszelkie wybitne osobowości. Jak sobie przypominę na tych zjazdach, gdzie byś nie rzucił kamieniem, tam byś kogoś mądrego trafił. Związek wyciągnął z narodu elitę i przez krótki historycznie moment elita była tam, gdzie powinna być.

J.Ł.: – Zjazd „S” w Gdańsku to była moja największa przygoda życia. Nigdy już nie spotkałem tylu ciekawych, mądrych ludzi, takiej klasy i takiej organizacji, jak podczas tego zjazdu.

– **Już wtedy mówiło się, że zjazd jest manipulowany...**

J.Ł.: – Pewnie, że był, ale co to zmienia? A.K.: – Pamiętam jęk „piekła” kiedy przechodziło tzw. „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Ja od razu wiedziałem, że to jest najważniejszy dokument historyczny tego zjazdu. Pamiętam jak to zostało odczytane i jaki to wywołało jazgot tych wszystkich „doradców”... Zjazd może i był manipulowany, ale było tam tak wielu mądrych i uczciwych ludzi, którzy sobie z tym poradzili.

Pytał Bolesław BEZEG



Foto: BIZ

Antoni Klusik, członek zarządu OSPN. Fotografik, dziennikarz, przedsiębiorca, w „S” od IX 1980. Pracownik MKZ Opole NSZZ „S” na stanowiskach: referent, pracownik redakcji, współpracownik niezależnego pisma „Solidarność Opolszczyzny”, sekretarz pisma „Prawda”. Internowany w Ośrodkach Odosobnienia w Opolu, Nysie i Grodkowie. Współredaktor podziemnego pisma „Interwał”, wielokrotnie poddawany rewizjom i zatrzymywany na 48 godz.

STAN WOJENNY KLATKA PO KLATCE



Foto: Autor nieznany

Warszawa: Manifestacja z okazji 1 maja przerodziła się w zamieszki.



Foto: Autor nieznany

Gorzów Wielkopolski: zamieszki 3 maja 1982 r. koło gorzowskiej Katedry.



Foto: Bogdan Nieznański

Gdańsk: Strajkujący stoczniowcy na chwilę przed pacyfikacją.



www.artfolk.opole.pl

Naturalne piękno ukryte w drewnie i motywach dekoracyjnych. Meble z litego drewna olchowego, ręcznie malowane we wzory charakterystyczne dla miejsca pochodzenia.

**AGENCJA REKLAMOWA
ArtFolk**

ul. Akacjowa 28
45-434 Opole
tel. 602 225 472
77 455 15 67
biuro@artfolk.opole.pl



Skrzynia Opolska - dekoracyjne motywy kwiatowe nawiązujące do folkloru regionu opolskiego



Skrzynia w stylu Kaszubskim



Skrzynia w stylu Minojskim (Kreta)





Mają zastosowanie jako przedmioty codziennego użytku oraz elementy wystroju wnętrz.



www.ospn.opole.pl

Nie tylko pamiętamy, ale staramy się, by i inni nie zapomnieli
Zwłaszcza o faktach z historii, które skazano na niepamięć
Potrzebujemy współpracowników i sponsorów
45-032 Opole, ul. Luboszycka 1a/2, tel. 602 133 017

NajlepsiOpole.pl

Interaktywny Katalog Branżowy

DOŁĄCZ DO NAS!

45-273 Opole
ul. Sosnkowskiego 40-42
tel: (+48) 796 225 621



www.najlepsiopole.pl
email: biuro@najlepsiopole.pl

Gdzie kupić „Historię Lokalną”?

W Opolu:

- * Muzeum Śląska Opolskiego
ul. Św. Wojciecha 13
- * Muzeum Wsi Opolskiej
Bierkowice k/o Opola
- * Księgarnia „Suplement”
ul. Bytnara-Rudego 3c
- * „Cepelia” Opole
ul. Koraszewskiego 25
- * Book & Coffe ul. Czapłaka 2
Galeria „Juma Lampy”
ul. Ozimska 181
- * Piekarnia Opolska ul. Ozimska 65
- * Sklep Wielobranżowy
ul. J. Bytnara „Rudego” 19
- * Teatr „Ekostudio” ul. Armii Krajowej 4 off
- * PTTK Oddział Opole ul. Krakowska 15/17
- * Kiosk „Feniks” ul. Piastowska 17
- * Sklep Ogólnospożywczy
ul. Rodziewiczówny 13 A
- * Kiosk w Sądzie Rejonowym w Opolu
ul. Ozimska 60 a
- * Sklep spożywczy w Niwkach

W Kędzierzynie-Koźlu:

- * Salonik Prasowy u Pateckich
Kędzierzyn, ul. Grunwaldzka 3
- * Salonik Prasowy u Magdy
Pogorzelec, ul. Piotra Skargi 21
- * Saloniki Prasowe u Ewy
Ślawieccice, ul. Ślawieckiego 16
- * Salonik Prasowy KAMID
Piasty, ul. Krzywoustego 15A
- * Salonik Prasowy Goha
Koźle, ul. Czerwińskiego 1

W Brzegu:

- * Muzeum Piastów Śląskich, Pl. Zamkowy 1
- * Intermarche, ul. Partyzantów 3
- * Księgarnia „Wiedza”, ul. Sukiennice
- * Sklep z prasą, ul. Robotnicza 5
- * Sklep Anajaks, ul. Chocimska 5
- * Kiosk w Bricomarche, ul. Partyzantów
- * Kiosk Wielobranżowy, Pl. Dworcowy PKS
- * Sklep kolekcjonerski „Hobby”
pl. Dworcowy – hall dworca
- * Salonik prasowy w „Biedronce”
ul. Słowackiego
- * Księgarnia „Sowa” Rynek 6
- * Sklep „Kasia”
róg ul. Słowackiego i ul. Makarskiego
- * Gminny Zespół Szkół w Skarbimierzu-Osiedle
ul. Akacjowa 27

W Głogówku:

- * Księgarnia Alfa, ul. Mickiewicza 18

W Głubczycach:

- * Salonik Prasowy „Darko”,
ul. Niepodległości 16

W Kluczborku:

- * Księgarnia Minerva, Rynek 3

W Krapkowicach:

- * Miejska i Gminna Biblioteka Publiczna
ul. Sądowa 21
- * Sklep Wielobranżowy, ul. Rynek 2/2

W Strzelcach Opolskich:

- * Księgarnia Ołówek, Rynek 14

Ponadto:

- * Muzeum Czynu Powstańczego
Góra Świętej Anny

**Sieć sprzedaży jest ciągle rozbudowywana.
Jeśli chcesz sprzedawać „HL”
Napisz: historialokalna@wp.pl
Zadzwoń: 602 592 086**

W następnym numerze HISTORII LOKALNEJ:

- Odbudują zamek w Strzelcach Opolskich
 - Wspomnienia Opolan:
 - Odbicie więźniów Urzędu Bezpieczeństwa
 - Marzec 1968 r.
 - 70 rocznica powstania Armii Krajowej
 - Skarby Nyskiej Katedry
- I inne ciekawe artykuły.

TU KUPISZ HISTORIĘ LOKALNĄ PRZEZ INTERNET:



www.opolskie.tropy.pl
KSIĄŻKI ZE ŚLĄSKA OPOLSKIEGO

www.opolskie.tropy.pl miejsce dla poszukujących albumów, przewodników, kolekcji internetowych, monografii o Opolu i Opolszczyźnie

10% rabatu dla czytelników Historii Lokalnej

Biuro Handlowe
45-061 Opole, ul. Katowicka 39/110
tel./fax 0-77/454 36 04, info@tropy.pl



**Zaprenumeruj
„Historię Lokalną”
w najbliższym urzędzie pocztowym
lub u listonosza**

**Twój ulubiony kwartalnik
z dostawą do domu!**

